Stron 12

Cena 25 zł

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok VI — Łódź, 6 marca 1949 r. — Nr 10 (189)

W NUMERZE
między innymi:

Kazimierz Piwarski

KRYZYS FRANCUSKI

Jacques Duclos, jeden z przywódców komunistów francuskich, napisał w numerze styczniowym miesięcznika „Démocratie Nouvelle“: „Imperialiści amerykańscy pragną trzymać nasz kraj silną ręką. Chcą mieć do swej dyspozycji rządy uległe, gotowe do wykonania ich dyrektyw. A poczucie klasowe bierze — u ludzi kierujących Francją — tak dalece górę nad poczuciem narodowym, że ich pierwszą troską jest okazywanie swego oddania i wierności dla panów spoza Atlantyku“.

Taka jest sytuacja we Francji w kilka lat po wyzwoleniu, po bohaterskiej epopei Ruchu Oporu, w której największą rolę odegrali komuniści, przodujący w walce o wolność Francji i o demokrację. Taka sytuacja mogła się wytworzyć z chwilą, kiedy komunistów odsunięto od rządów — na życzenie Departamentu Stanu USA. Stało się to, rzecz prosta, wbrew woli poważnej części narodu francuskiego — skoro przy wyborach do 30 proc. głosów padało na listy komunistyczne, wbrew woli znacznej większości klasy robotniczej Francji — skoro 3/4 tejże klasy znajduja się w szeregach partii komunistycznej.

Było to możliwe jednak jako następstwo wytężonej akcji, jaką podjęła przeciw komunistom reakcja francuska, grupująca się około swego „męża opatrznościowego“ de Gaulle'a, oraz w następstwie zdrady sprawy demokracji i niezależności Francji, jakiej dopuściła się „trzecia siła“: prawicowi socjaliści spod znaku Leona Bluma (SFIO) oraz chrześcijańska demokracja (MRP).

W czasie wojny postać de Gaulle'a stała się w oczach wielu Francuzów symbolem idei walki niezłomnej z najeźdźcami hitlerowskimi. De Gaulle pozował wówczas na generała republikańskiego, zapowiadał odbudowę niepodległej, demokratycznej Francji — a równocześnie przygotowywał sobie teren pod przyszłą dyktaturę. Dobrze przejrzał jego istotne plany F. D. Roosevelt, który mówił swemu synowi Elliotowi: „De Gaulle ma zamiar wprowadzić we Francji rząd jedynowładczy. Nie mogę sobie wyobrazić człowieka, który by budził we mnie większą nieufność“. W chwili jednak, kiedy de Gaulle stanął (w sierpniu 1944 r.) na ziemi wyzwolonej Francji, nie odkrywał jeszcze zrazu swych kart, udawał gotowość do współpracy z francuską demokracją. Nie było poważniejszych sprzeciwów, choć generał dość bezceremonialnie narzucił się na szefa Rządu Tymczasowego. Stopniowo jednak staje się widoczne, że celem jego jest usunięcie od wpływów Krajowej Rady Oporu, w której czynniki demokratyczne mają przewagę, że lekceważy opinię publiczną, że nie chodzi mu wcale o odbudowę demokracji, lecz że planuje wprowadzenie systemu prezydencjalnego (przy czym sam myśli o ujęciu najwyższej władzy w państwie), że stara się odwlec wybory powszechne do Konstytuanty. Kiedy zaś w końcu doszło do wyborów, które dały największą liczbę mandatów komunistom a nieco mniejszą partiom MRP i SFIO, staje na czele rządu jedności, w skład którego weszli przedstawiciele tychże trzech stronnictw. Należy dodać, iż komuniści wykazali podówczas bardzo dużo dobrej woli, rezygnując — wobec oporu de Gaulle'a — z kluczowych ministerstw, byleby tylko nie przedłużać kryzysu politycznego i skierować wszystkie wysiłki narodu do pracy nad dziełem odbudowy; zadowolili się 5 tekami w gabinecie, podczas gdy socjaliści otrzymali 8 tek a MRP 5 tek. Szefem rządu został de Gaulle, ale rychło okazało się, że nie potrafi utrzymać się w roli premiera rządu parlamentarnego. Popadłszy w spory tak ze Zgromadzeniem Narodowym (Konstytuantą) jak i członkami gabinetu, podał się do dymisji.

Oświadczył wówczas z patosem: „Moja rola jest skończona. Demokracja odrestaurowana, a życie Francji stało się prawie normalne. Nie jestem więcej potrzebny“. Jaki był w istocie bilans jego premierostwa? W ciągu 18 miesięcy swych rządów de Gaulle uczynił wszystko, aby w administracji i armii francuskiej wzmocnić wpływy reakcji a osłabić znaczenie demokratycznych czynników Ruchu Oporu. Tolerował niesłychane marnotrawstwo grosza publicznego i nadużycia, popełniane w owym czasie przez różnych dygnitarzy wojskowych i cywilnych, pokrywane przez ministrów - gaullistów i socjalistów; fakty te zostały ostatnio ujawnione w sprawozdaniu Izby Kontroli za okres od r. 1944 do r. 1946. Uchylał się od przeprowadzenia reform gospodarczych i społecznych, jakich domagały się postępowe koła społeczeństwa. Następnie odszedł, pozostawiając Francję w chaosie gospodarczym, w trudnej sytuacji politycznej. To nieprawda, że uznawał swą rolę za skończoną: usunął się, gdyż postanowił w wyniosłym odosobnieniu czekać na swą „wielką chwilę“.

W ciągu r. 1946 system trójpartyjny przyniósł Francji szereg niezbędnych reform gospodarczo-społecznych, polepszenie ogólnej sytuacji ekonomicznej i wzmocnienie pozycji na zewnątrz. We wrześniu t. r. Zgromadzenie Narodowe uchwaliło konstytucję, kładąc fundamenty pod rozwój IV Republiki. Konstytucja była wyrazem kompromisu między partiami lewicy i centrum: nie stworzyła — jak tego pragnęły czynniki postępowe — właściwych ram dla ustroju demokracji ludowej, ale otwierała drogi dalszej demokratyzacji, które jednak zamknęła zdrada SFIO i reakcyjna polityka burżuazji. W toku przygotowań do konstytucji de Gaulle uznał, że znowuż jest Francji „potrzebny“. W głośnym swym przemówieniu w Bayeux wypowiedział się przeciwko projektowi konstytucji, przedstawionemu przez lewicę. W następnych wystąpieniach zajął stanowisko zdecydowanie negatywne również i wobec kompromisowego projektu konstytucji, za którym opowiedziała się większość Zgromadzenia Narodowego, który też uzyskał w plebiscycie aprobatę narodu.

De Gaulle zrzucił maskę. Stał się od razu „mężem opatrznościowym“ całej reakcji francuskiej. Powołał do życia partię RPF (Rassemblement du Peuple Français), w skład której weszły reakcyjne elementy wszelkiego autoramentu (ze stanowczą przewagą kapitalistów przemysłowych i finansjery) — nie wyłączając dawnych zwolenników reżimu Vichy. Kości zostały rzucone. Reakcja francuska obnażyła swe oblicze, udzielając kredytu de Gaulle'owi celem dopomożenia mu do zdobycia władzy, obalenia republiki, podeptania demokracji.

Jedyną właściwą odpowiedzią na tę ofensywę reakcji mogła być tylko mobilizacja sił republikańskich i demokratycznych. Cóż się jednak stało? Socjal-reformiści spod znaku Bluma, którzy tracili oparcie w klasie robotniczej i stawali się coraz więcej partią mieszczańską, popełnili jawną zdradę wobec klasy robotniczej, wobec demokracji, wobec narodu francuskiego. W rządzie socjalisty Ramadiera zasiadało jeszcze w r. 1947 pięciu komunistów. Na polecenie amerykańskiego Departamentu Stanu zostali oni z rządu usunięci! Socjal-reformiści poszli na koncepcję „trzeciej siły“ tj. na montowanie wspólnego frontu z MRP oraz bankrutami politycznymi, winowajcami upadku III Republiki, teraz jednak — wobec otwierającej się koniunktury — na nowo wracającymi na widownię życia politycznego radykałami. Zadaniem owej „trzeciej siły“ miała być rzekomo walka na dwa fronty, a więc tak z gaullistami jak i komunistami. W istocie „trzecia siła“ stała się narzędziem w ręku reakcji francuskiej oraz imperialistów amerykańskich. W planach monopolistów i imperialistów wyznaczano jej rolę ściśle określoną: chodziło o rozbicie frontu demokratycznego we Francji i o przygotowanie terenu dla objęcia władzy przez de Gaulle'a.

Niebawem już rozwój sytuacji wykazał jasno, że „trzecia siła“ jest w istocie zupełną bezsiłą. Rządy socjalisty Ramadiera, chadeka Schumana, „radykałów“ A. Marie czy H. Queuille'a spowodowały wzrost chaosu wewnętrznego, znaczne pogorszenie sytuacji gospodarczej, uzależnienie polityczno-gospodarcze od USA (w ramach „planu Marshalla“), faktyczną utratę suwerenności, upadek znaczenia Francji na forum międzynarodowym, narzucenie Francji rezygnacji z odszkodowań wojennych

(ciąg dalszy na str. 3)



Maurice Thorez

Wrogom ludu!*)

Nieprzyjaciele ludu, sądząc, że mogą nas postawić w kłopotliwej sytuacji, zadają następujące pytanie:

— CO BYŚCIE ZROBILI W WYPADKU, GDYBY ARMIA CZERWONA OKUPOWAŁA PARYŻ?

OTO NASZA ODPOWIEDŹ:

I. Związek Radziecki nigdy nie znajdował się i nie może się znaleźć w pozycji napastnika wobec jakiegokolwiek kraju. Z natury rzeczy kraj socjalizmu nie może prowadzić polityki agresywnej i wojennej, która jest właściwa mocarstwom imperialistycznym...

Armia radziecka, armia bohaterskich obrońców Stalingradu nie zaatakowała nigdy żadnego narodu. W walce z Niemcami hitlerowskimi odegrała ona chwalebną rolę oswobodzicielki narodów, zyskując sobie za to ich głębokie uznanie.

II. Stanowisko nasze opiera się na faktach, a nie na przypuszczeniach.

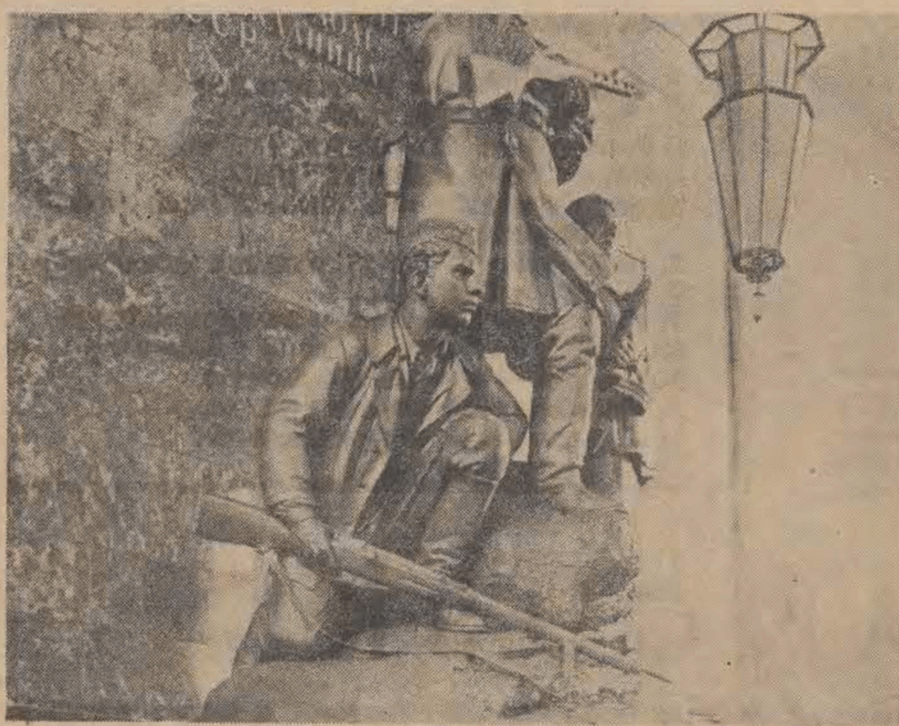
Obecnie fakty są następujące:

Czynna współpraca rządu francuskiego z agresywną polityką imperialistów anglosaskich, obecność zagranicznego sztabu generalnego w Fontainebleau, przekształcenie naszego kraju i francuskich terytoriów zamorskich w bazy agresji przeciwko ZSRR i krajom demokracji ludowej.

III. Wobec postawionego nam pytania oświadczamy wyraźnie, co następuje:

Gdyby wspólne wysiłki wszystkich Francuzów dbałych o wolność i pokój nie wystarczyły do tego, by wprowadzić nasz kraj z powrotem do obozu demokracji i pokoju, gdyby w konsekwencji naród nasz został wciągnięty wbrew swojej woli do wojny antyradzieckiej i gdyby w tych warunkach Armia Radziecka, broniąc sprawy narodów, sprawy socjalizmu, zmuszona była przepędzić agresorów aż do naszej ziemi — to czy pracujący lud francuski mógłby się inaczej zachować w stosunku do Armii Radzieckiej, niż pracujące ludy Polski, Rumunii, Czechosłowacji i innych krajów?

*) Maurice Thorez, Sekretarz Generalny Komunistycznej Partii Francji, wypowiedział się na plenum Komitetu Centralnego Partii w dniu 23 lutego br. za pokojem i współpracą ze Związkiem Radzieckim i krajami demokracji ludowej oraz przeciwko podżegaczom wojennym.



Metro moskiewskie. Fragment pomnika białoruskich partyzantów. (Brąz).

Józef Ozga Michalski

NA LENINGRADZKIM MOŚCIE*)

Stoją żołnierze na placu,
stoją spiżowi na murze,
ramiona na temblaku,
oczy na śnieżnej chmurze.
W powietrzu wisi burza,
Newa od morza płynie,
huczą fabryczne podwórza
pieśń o Leninie.
Dalecy, bliscy i krewni,
zmarli i żywi w tę noc
kuli żelazo w odlewni
w stalowy wojenny głos.
Ten chór opuścił scenę;
w muzeum leningradzkim
armaty drzemią
na betonowej posadzce.
Samolot, który strącił
sto dwadzieścia maszyn niemieckich
wisi u stropu
jak orzeł w klatce.
Czołgi zbryzgane krwią
ludzi, którzy się bili
jak wielbłądy zgarbione śpią
snem zamarłych w pustyni.
— A w kołchozie, w fabryce, w świetlicy,
w pionierskim domu i w szkole
słychać tętent konnicy;
kawaleria traktorzystów — w pole!
Ach! Ta ciężka husaria nasza —
to nie bitwa pod Cecorą, Kircholmem
tu się lemiesz zamiast pałasza
nosi przed marszałkiem polnym.
— A widownia w leningradzkim teatrze?
O! ta patrzy za Pireneje;
młodzi marynarze klaszczą,
aż kurtyna, jak żagiel się chwieje.
Jakąż dziwną muzyką dzwoni
rewolucji pieśń u drzwi poety —
tętent żelaznych koni
łan pszenicy ciągnie do mety.
A w takim marszu i biegu,
co dobre i piękne żyje,
spod wody, lodu i śniegu
Pikową Damę dobyłem.
Kiedy przez most przepływam
na lustrze czystego lodu
jej postać wydobywam
jak trębacz hejnał na rogu.
A wtedy uśmiechnięty
w zadymce śnieżnej po uszy
prostuje się zaklęty,
spiżowy żołnierz wśród burzy.
Wysuwa lewą nogę
do marszu na nowy most
o krok go nie ubiegłem,
o krok nie cofnął się on.

Leningrad 1948 listopad.

KAPITAN WOJNAR

Już bocian sfrunął ze stodoły
i dzień otwarły skrzydła wrót,
klekocą w werble dwa anioły,
czerwone dzioby grają z nut
wojenną pobudkę drużynie,
która na sianie śpi
pod głową z karabinem
zardzewiałym od krwi.
W stajni zarżały konie,
i bocian wzbił się jak sokół
nad zielone lotniska błonie,
nad wysoką storczyka topól.
Wstawać! Tej stodoły namiot
rozbijemy po bitwie do snu,
kiedy księżyc sierpem na dobranoc
tnie na odlew zboże na pniu.
Kapitan skoczył na boisko;
zapole zaroiło się;
snopy we żniwa,
na ściernisku,
wiązane w pasie,
głowy w górę;
stoją żołnierze
na klepisku,
niejeden ziewa,
(gębę drze)
Co to się dzieje? Gospodyni
nie może wytrzymać z ciekawości
wojsko w stodole,
broń we skrzyni,
a bocian krąży i klekoce.
A kogut ten domów orzeł
napuszył się na gospodarstwie;
herb malowany piórem w zbożu
pokrzyżowany z całym ptactwem.
Wreszcie wylegli na podwórze
ci ludzie nawpół uzbrojeni,
co w dzień pogodny szli na burzę,
aby ukosić snop promieni.
Rzekł im kapitan,
co pamiętam,
i słowa te powtarzam dziś:
— „Tu jest podwórze, a tam cmentarz,
na którym już niejeden śpi.
Kogut, którego tu widzicie
jest tam wycięty prosto z blachy,
choćby zapiał — nie usłyszycie,
będzie martwy stał na dachu.
Dwór co stoi, pałac pański
nie pozostanie już pałacem
zdmuchniemy ich mydlane bańki
w powietrzu pełnym chłopskiej sadzy".
Tak mówił kapitan Wojnar
do dzielnych chłopców bechowców,
kiedy wsiadali w łódź podwodną,
aby szturmować hitlerowców.
— Może ten bociek,
co ich wywoływał w pole
żaby w Nilu łowi —
A może nad Arabią,
nad Palestyną,
klekoce
jak nam kiedyś,
gdyśmy zrywali okowy.
Kapitan pod murawą śpi.
Nie należy do zmarłych cieni.
To, o co się bił
wykonano na powierzchni ziemi.

Wiślica 1948, grudzień

*) Wiersze z tomu poezji „O człowieku, czołgu i mieczu", który ukaże się w kwietniu b. r. nakładem „Wydawnictwa Ludowego".

Krzysztof Sławiński

LISTY ROZSTRZELANYCH *)

Są to listy uczestników Francuskiego Ruchu Oporu — przeważnie komunistów — które zdołali napisać do swych rodzin, ojców, matek, żon i dzieci na krótko przed rozstrzelaniem. Pisane są prostym stylem, często urywanym, nieskładnym językiem. Są jednak bardziej wymowne niż bohaterski patos. To są stany ludzi, którzy oddali życie za niezależność swej Ojczyzny. Padli w walce z wrogiem, po to, by Francja była wolną.

Posłuchajcie co pisali:

„Pragnąłbym, aby moi przyjaciele wiedzieli, że zostałem wierny ideałom, jakim służyłem przez całe życie. Niechaj moi ziomkowie wiedzą, że potrafię umrzeć, aby żyła Francja...

Tej nocy myślałem wiele o moim drogim przyjacielu Paule Vaillant-Couturier. Miał słuszność mówiąc, że **komunizm jest młodością świata**, że toruje drogę rozśpiewanemu Jutru.

I ja będę wśród tych, którzy torują drogę „rozśpiewanemu Jutru" (z listu Gabriela Péri).

Czyż trzeba dobitniejszego dowodu patriotyzmu i miłości Ojczyzny? Czyż można w gorętszych i bardziej prostych słowach wyrazić wiarę w wielką przyszłość swego narodu? Wówczas, gdy ginęli ci najlepsi synowie ziemi francuskiej — Francja nie istniała. Kto przyczynił się do jej klęski? Ci, którzy wtrącili komunistów w podziemie dlatego tylko, że mówili prawdę i pragnęli ocalenia Francji. Ci którzy... Czyż trzeba przypominać historię intryg i historię, albo ściślej historie, wielu kapitulacji — przed hitlerowskim wrogiem — i dzieje tego tragicznego rozbrojenia moralnego, które w konsekwencji przyniosło okupację? A potem — już wobec wroga — ci rzekomi „patrioci" zmienili się w zwykłych mieszczuchów. Czekali wybawienia z zewnątrz. zany walką i śmiercią. A co jest bardziej przekonujące: czyn i śmierć — czy słowa bez pokrycia, które deklamują ministrowie francuskiej **burżuazji?**

„Moje ostatnie myśli są z Wami, Towarzysze walki, z Wami, którzy należycie do naszej wielkiej Partii, ze wszystkimi Francuzami, którzy kochają Ojczyznę, z bohaterskimi bojownikami Armii Czerwonej i z jej wodzem, wielkim **Stalinem.** Umieram z wiarą i przekonaniem, że **Francja zostanie wyzwolona".**

Te słowa pisane na kilka godzin przed śmiercią świadczą o głębokim, nierozerwalnym, prawdziwie ludzkim przywiązaniu do narodu, klasy i partii, do ich cierpień i walk, do codziennych bolączek i niestłumionej nadziei w lepszą przyszłość.

„Kochani Towarzysze, bądźcie spokojni, spełniliśmy nasz obowiązek, nie żałujemy niczego. Byliśmy dobrymi żołnierzami Partii i Francji. Niech nasz przykład nie idzie na marne. Niech żyje Francja! Niech nasza Partia zdobędzie sobie należne miejsce w **lepszym ustroju,** w którym **lud pracujący będzie mógł wyrazić swą wolę"** (z listu Józefa Delobei). Czy to nie jest patriotyzm?

A może „patriotyzmem" ma być to, co włożył w usta swego bahatera Malraux, **pisarz** i szef propagandy de Gaulle: **„Sens życia.** Całkowite posiadanie samego siebie. **Bezgraniczne. Absolutne. Wyłączne (La seule). Wiedzieć. Nie szukać, szukać ciągle idei, zadań.** Po godzinie nie czuję nic z tego, co ciążyło na mnie. Czy rozumiecie mnie? Nie". **To** jest bełkot człowieka, który nie wie po co żyje. Roger Garaudy zatytułował zbiór essayów o francuskiej literaturze schyłkowej „Une Litterature de fossoyeurs" (Literatura grabarzy).

„Grabarze" nie mają nic wspólnego z patriotyzmem!



Petain wita proroka „nowego porządku"...

Albo wspólnie z Niemcami robili „nowy ład". Vichy także głosiło „patriotyzm" — jakby na pośmiewisko historii i Francji. Ale historia jest bardziej ironiczna, a w swej ironii zarazem bardziej prawdomówna — niż się wydaje. Rzuciła prawdę w twarz kłamcom. Czyż to nie komuniści byli partią, która swój patriotyzm przypłaciła 70 tysiącami rozstrzelanych? Czyż to nie oni byli w pierwszych szeregach bojowników o wolność i niezależność Francji? Czyż nie oni kierowali ruchem podziemnym?

Kto temu zaprzeczy? U nich patriotyzm objawiał się nie tylko w słowach. Został oka-

*) „Listy rozstrzelanych" — Książka, 1949.

Jeden z rozstrzelanych, Andrzej Jouanneau, pisał do swej rodziny: „Najokropniejsze dla mnie jest to, że aresztowali mnie Francuzi". Kto go aresztował? **Vichy.** Dziś kollaboracjonistów wypuszcza się na wolność — przywraca się im prawa, które stracili przez zdradę Francji.

Dziś René Mayer poddaje w parlamencie w wątpliwość narodowy charakter partii komunistycznej — z tego tylko względu, że Maurice Thorez opowiedział się jasno i zdecydowanie za pokojem, demokracją i niezależnością Francji.

Czy Vichy należy do przeszłości? Czyż „grabarze" nie kopią Francji nowego grobu? Czyż nie chcą ponownie rozstrzelać rozstrzelanych? Z rąk grabarzy giną robotnicy.



Ich „nowy porządek"..

(Z dokumentów procesu norymberskiego)

Grabarze konfiskują filmy o walkach wolnościowych ludu francuskiego.

Grabarze konfiskują demokratyczną prasę.

Grabarze współpracują w odbudowie imperializmu niemieckiego.

Grabarze zezwalają, by w Fontenaibleau osiadł sztab obcych mocarstw.

Grabarze tworzą amerykański „nowy ład".

Czy w imię tego ginęli najlepsi synowie Francji? Młody elew Wyższej Szkoły w Vallenciennes, Felicjan Joly pisał przed śmiercią „Do Wszystkich, którzy są mi drodzy! Pragnąłem szczęścia całej ludzkości. Powitajcie przyszłość z twarzą rozjaśnioną, promienną. Wy będziecie szczęśliwi, a ja będę kowalem Waszego szczęścia. Umieram młodo, bardzo młodo. Ale jest coś, co nie umiera — to moje marzenia. Nigdy nie wydawały mi się równie jasne, zawsze wspaniałe, równie bliskie, jak w tej chwili...

Wkrótce nastąpi surowa zima, a po zimie piękna wiosna. A dla mnie śmierć wydaje się śmieszną, **przecież ja nie umieram**, przecież mnie nie zabiją, będę żył wiecznie. Moje imię dźwięczeć będzie po śmierci jak salwa armatnia, jak salut nadziei.

Umieram po to, aby Francja była wolna, silna i szczęśliwa".

Czego chciał ten młody chłopiec? — i ci wszyscy rozstrzelani — 70.000 rozstrzelanych, którzy reprezentowali **lud Francji?** — By ich ojczyzna była **wolna i niezależna**. Dziś ministrowie francuskiej burżuazji uważają to marzenie za grzech. Czego jeszcze chcieli ci, których rozstrzelano? By ziemia francuska należała do francuskiego chłopa, a francuskie fabryki — do francuskiego robotnika. By pot, który ronią w czasie pracy — użyźniał **tylko** francuską ziemię, i chleb, który spożywają — był chlebem **pokoju**. To były (i są) marzenia wszystkich ludzi pracy, którzy swym wysiłkiem tworzą bogactwo i kulturę narodu.

Pożegnam się wnet z mym króciutkim — pisze Paweł Camphin—dwudziestojednoletnim życiem — po to, by dzieci Francji były wolne i szczęśliwe! Nie zdradziłem sprawy mej Partii. Idę z uśmiechem na wargach, z pieśnią na ustach. Śmierć mnie nie przeraża".

Dlatego, że chcieli szczęścia swego narodu, — chcą burżuazja i socjalzdrajcy dziś marzenia ich uznać za zdradę Francji. Kto? Zdrajcy! Ci, którzy nie mogąc już kupczyć sumieniem swego narodu (gdyż jego sumieniem są komuniści) — kupczą jego dobrami materialnymi i siłą roboczą ludu francuskiego.

„Ginę za moją Ojczyznę, za ideały, których nie zaparłem się nigdy, ginę przede wszystkim za Wasze przyszłe szczęście — pisał Andrzej Chassagne. Dlatego, że ginęli za życie innych, i lepsze i bardziej ludzkie, i bardziej radosne — mówią dziś, że ich ideały oznaczają zgubę Francji. Kto? Ci, którzy przynoszą Francji nędzę, bezrobocie, zastój gospodarczy.

Kto jest więc patriotą? Ci, którzy walczyli i walczą o szczęście narodu — czy ich oskarżyciele, którzy nie rozumieją, że sami są już dziś oskarżonymi. Oskarża ich: każdy „rozstrzelany" i naród, który nie zapomniał (jak oni) o swych najlepszych synach. Oskarża każdy ich własny czyn. „Lepiej umrzeć młodo za swoją Ojczyznę niż umrzeć na starość na skutek choroby, ale zdradziwszy swój kraj" (z listu Marcela François). Nie zrozumieli jeszcze tych prostych i niedwuznacznych słów, które zza grobu przesyła im jeden z „rozstrzelanych" — który nie zdradził. I to oskarżenie — przychodzące jakby zza grobu — ale wciąż żywe, jak wciąż żywa jest w narodzie pamięć bohaterów — nie przycichło.

„Jeśli udało mi się zachować zdolność myślenia bez wpadania w przygnębienie czy w chorobliwe podniecenie — pisał Piotr Rebière — to zawdzięczam to jedynie mym przekonaniom, **pewności**, że Partia Komunistyczna w duchu marksistowskim, rozwiniętym przez działalność Lenina i Stalina, zwycięży!

Myślę ze współczuciem o tych, którym nie dana była bezwzględna wiara w naszą ideę, którzy **zginęli nie mając** przed sobą **żadnych ideałów...** Jakże musieli cierpieć!..."

Tych słów burżuazja nie rozumie. Tym gorzej dla niej. Nie rozumie, że ta pewność zwycięstwa tkwi w moralności Partii, w sile proletariatu, którego ludzie ze śpiewem umieją umrzeć za wielką Sprawę i w biegu historii, która sprawia, że frazesy, o które walczą ministrowie burżuazji, straciły dawno swój sens społeczny — a wiara komunistów jest już dziś najgłębszą treścią przyszłego rozwoju ludzkości.

Wiara i pewność zwycięstwa „rozstrzelanych" jest niezłomną, jak niezłomną i nieśmiertelną jest sprawa socjalizmu.

Krzysztof Sławiński

KRYZYS FRANCUSKI

(Dokończenie ze str. 1)

oraz z kontroli nad Zagłębiem Ruhry, zmuszenie jej do przyjęcia „protokółu londyńskiego" (1948), przewidującego odbudowę Europy Zachodniej z Niemcami jako ośrodkiem potęgi przemysłowej i militarnej. Bilans doprawdy katastrofalny.. Wszelkie koncepcje amerykańskie Unii Zachodniej czy Paktu Atlantyckiego, których ostrze jest skierowane przeciwko ZSRR, opierają się na odbudowie imperializmu niemieckiego: bazę tego miperializmu mają stanowić montowane przez Anglosasów Niemcy Zachodnie: Bizonia czy właściwie Trizonia — wobec nieuchronnego połączenia strefy francuskiej z amerykańską i angielską. Nie ulega kwesti, że odrodzenie imperializmu niemieckiego przedstawiać będzie dla Francji, śmiertelne niebezpieczeństwo. Jasne jest również, że imperializm amerykański stawia dzisiaj na Niemcy a nie na Francję, której udziela się w tych kołach jedynie dobrej rady: zaleca się porozumienie francusko-niemieckie, t. zn. w praktyce zdanie Francji na łaskę i niełaskę Niemiec imperialistycznych, wychowanych w duchu rewanżu, montowanych przy wydatnej pomocy i pod patronatem USA. Rozzuchwalona prasa reakcyjna Bizonii nie krępuje się bynajmniej w ocenie sytuacji i stawia sprawę jasno: „Jeżeli Francja nie pogodzi się z Niemcami, będzie musiała walczyć nie tylko ze swymi wrogami wewnętrznymi, lecz także z Niemcami, Anglią i Stanami Zjednoczonymi". Trzeba przyznać, że podkarmieni przez Anglosasów reakcjoniści niemieccy odzyskali w pełni swój dawny tupet! Kiedy zaś politycy „trzeciej siły" próbują zgłaszać w Londynie czy w Waszyngtonie nieśmiałe protesty, dostają mentorskie pouczenia: Francuzi powinni zrozumieć, iż nie ma czasu wdawać się w drobiazgowe rozpatrywanie postulatów francuskich, skoro chodzi o coś znacznie ważniejszego — o problem „obrony Zachodu", czyli o zorganizowanie imperialistycznego frontu antyradzieckiego!

Polityka „trzeciej siły" prowadzi do zupełnego upadku znaczenia i prestiżu Francji w Europie, pozbawia ją możności skutecznego zabezpieczenia się przed ponowną agresją niemiecką. Taki jest rezultat uległości kół rządowych francuskich wobec dyrektyw amerykańskich. Trudno nawet zresztą oczekiwać od polityków „trzeciej siły", aby mogli skutecznie przeciwstawić się dyktandu swych amerykańskich mocodawców, skoro nie mają za sobą takiego atutu jak poparcie własnego społeczeństwa. Coraz bardziej aktualne staje się pytanie: kogo właściwie reprezentuje ta „trzecia siła"? Wiadomo, że traci ona grunt pod nogami w społeczeństwie francuskim. Zanik wpływów SFIO jest już zjawiskiem chronicznym. MRP znowuż, przeżarta od wewnątrz agitacją gaullistowską, nie może się otrząsnąć z ciężkiej klęski, jakiej doznała w wyborach samorządowych w roku 1947, tracąc wówczas mnóstwo głosów na rzecz de Gaulle'a. Nie ulega natomiast kwestii, że obóz de Gaulle'a wzmacnia swe pozycje wyzyskując rosnący we Francji chaos, wyciągając dla siebie korzyści z haniebnej walki, prowadzonej przez rządzące koła francuskie z komunistami. W wspomnianych wyborach samorządowych w r. 1947 SFIO, MRP i radykali, tworząc sojusz wyborczy w obawie przed komunizmem, pomogli pośrednio de Gaulle'owi do sukcesu. Nie koniec na tym. Kiedy w jesieni r. 1948 miały się odbyć wybory do drugiej izby parlamentarnej, Rady Republiki, zakapturzony gaullista Giaccobi wraz z blumowcem J. Mochem spreparowali ordynację wyborczą, której ostrze zwrócone było wyraźnie przeciw komuistom, z czym się zresztą nie kryła stojąca na usługach rządu prasa francuska; tak np. usunięto bezpośredniość i proporcjonalność, zastosowano odpowiednią geografię wyborczą, krzywdzącą okręgi robotnicze. W rezultacie gaullistowska RPF odniosła poważny sukces wyborczy, dający jej przewagę w Radzie Republiki, co pozwala reakcji francuskiej wygrywać drugą izbę parlamentarną przeciwko Zgromadzeniu Narodowemu. Oto jak wygląda w praktyce walka „trzeciej siły" na dwa fronty. Zwalczając komunizm, wspomaga „trzecia siła" jedynie i wyłącznie obóz de Gaulle'a.

Rząd „trzeciej siły" prowadzi politykę antydemokratyczną i antyludową. Przy takim reżimie syta jest burżuazja francuska, głodni zaś są — robotnicy. Dewaluacja franka, wzrost cen — przy równoczesnym zablokowaniu płac robotniczych, wzrost bezrobocia — jako „dobrodziejstwo" planu Marshalla: to wszystko doprowadza proletariat francuski do granic nędzy. W porównaniu z r. 1938 stopa życiowa robotnika obniżyła się o prawie 50 proc. Natomiast zyski kapitalistów znacznie wzrosły. Zrozumiałe więc, że klasa robotnicza ucieka się do samoobrony, do strajków. W ogromnej swej większości zajmuje postawę jednolitą. Nie powiodła się podjęta przez marshallowskich socjalistów robota rozbijacka na terenie związków zawodowych, prowadzona przy pomocy kontrolowanych przez rząd związków jak „Force Ouvriere". Imponującą manifestacją spoistości klasy robotniczej był niedawno długotrwały strajk 350.000 górników francuskich. Rząd „trzeciej siły" zastosował środki represji, którymi szafował nader hojnie socjalistyczny minister J. Moch, zwany „żandarmem klasy robotniczej". Nastąpiły liczne aresztowania, zapełniły się więzienia, robotników-obcokrajowców pozbawiano prawa pobytu we Francji; na robotników skierowano karabiny maszynowe, czołgi, gazy tłumiące itd., postawiono na nogi przeciwko robotnikom policję i wojsko; strzelano do robotników, strzelano do kombatantów, demonstrujących spokojnie w Paryżu.. Równocześnie prasa rządowa i radio prowadziły kampanię oszczerczą przeciwko partii komunistycznej, biorącej w obronę słuszne żądania klasy robotniczej. Rząd „trzeciej siły" zyskał sobie za to pełne uznanie kół kapitalistyczno-reakcyjnych.

Któż na tym może naprawdę zyskać? Któż by jak nie „mąż opatrznościowy" reakcji francuskiej — de Gaulle? Ma za sobą poparcie kapitalistów przemysłowych, finansjery, burżuazji, popierają go w pełni te koła, które ongiś stawiały na Petaina i wolały hańbę Francji niż reformy socjalne i udział komunistów w rządach. Na de Gaulle'a stawia owych 200 wielkokapitalistycznych rodzin francuskich, które zaangażowały swe pieniądze poprzednio w krajach, w których zwyciężyła demokracja ludowa i nie mogą przeboleć, że kraje te przestały być już terenem wyzysku dla obcego kapitału. Generał de Gaulle i cała jego klientela nienawidzą ZSRR i demokracji ludowej, natomiast godzą się na plany odbudowy potencjału przemysłu wojennego Niemiec, stoją w obozie amerykańskich podżegaczy wojennych, którym się marzy rozpętanie nowej wojny światowej. „Trzecia siła" pracuje dla generała, pracuje dla popierających go imperialistów amerykańskich. W Departamencie Stanu i na Wall-Street zdają sobie sprawę z tego, że—wobec rosnącego wzburzenia postępowych mas społeczeństwa francuskiego — eksperymenty z rządami „trzeciej siły", nie posiadającej oparcia w narodzie, nie długo już będzie można uprawiać. Wiele też oznak wskazuje na to, że etap przejściowy dobiega końca. „Trzecia siła" wykonała już swą robotę, doprowadziła do chaosu wewnętrznego i ogromnego osłabienia pozycji Francji na zewnątrz. „Trzecia siła" stanie się niebawem niepotrzebną, nawet krępującą. Czeka ją los zasłużony. Zostanie zmieciona z powierzchni życia politycznego Francji. Protektorzy bowiem de Gaulle'a zechcą zapewne ostatecznie wyjaśnić sytuację i postawić na czele Francji „zbawcę ojczyzny", szefa jawnej partii amerykańskiej.

Ale nie takiego „zbawcy" potrzebuje Francja. Z ciężkiego kryzysu może ją wydobyć, może ją ocalić jedynie lud francuski, pod przewodem klasy robotniczej. Partia komunistyczna wskazała drogę, wzywając do obrony republiki, niepodległości i suwerenności narodowej, do obrony pokoju, do przeciwstawienia się faszyzmowi, do stworzenia rządu Unii Demokratycznej, w którym jest gotowa wziąć udział z pełną odpowiedzialnością. Wiadomo, że taką koncepcję zwalcza i zwalczać będzie reakcja francuska i jej mocodawcy, imperialiści amerykańscy. Ale decydującą będzie wola ludu. W ostatniej instancji masy ludowe francuskie rozstrzygną, jaka droga jest właściwa dla przyszłości narodu, dla wolności, dla sprawy pokoju!

Kazimierz Piwarski

W TYM SAMYM PARYŻU



15 lutego b. r. odbyła się w Paryżu konferencja ministrów spraw zagranicznych państw wchodzących w skład tzw. „O.E.C.E." (Organizacji Europejskiej Kooperacji Ekonomicznej). Od lewej: Onden (Szwecja), Robert Schuman (Francja), Spaak (Belgia), Stafford Cripps (Anglia), książę Sforza (Włochy), Sadhk (Turcja) i Harriman (USA).



Manifestacja młodzieży francuskiej za „Pokojem dla Vietnamu!"

Jan Baculewski

Edukacja sentymentalna... pozytywizmu



August Comte

Wielki pozytywista i wielki fantasta dziewiętnastowieczny, August Comte[1]), nie miał wielkiego uznania dla sztuki. Rozumiał jednak jej funkcję społeczną. Natomiast, jako twórca systemu naukowego, wysoko cenił wiedzę oczywiście pozytywną. Postulował reformę nauczania, której podstawy winna stanowić klasyfikacja i hierarchia nauk pozytywnych. Początkowy kurs miał obejmować astronomię i trwać dwa lata. Wydawało mu się to szczególnie niezbędne w wychowaniu dzieci. Poza tym za naturalnych rzeczników swojej filozofii uważał kobiety i proletariuszy. Związek proletariuszy z nauką pozytywną był dlatego zrozumiały, „gdyż **cechująca ich abnegacja w sprawach materialnych zbliża ich do klasy prawdziwych myślicieli;** pochodzi to stąd, **iż nie mają oni kłopotów, związanych z użytkowaniem kapitałów, a poza tym ze względu na charakter naszej cywilizacji nie mogą, oczywiście, spodziewać się, ani nawet pragnąć, poważniejszego udziału we właściwej władzy politycznej"** [2]). Co innego władza moralna. Comte jest przekonany, że lud nie może wyrzec się stałego udziału w jej sprawowaniu. Winna być ona dostępna wszystkim, gdyż nie powstają z niej żadne szkody dla ładu społecznego, a przeciwnie, wynikają korzyści; upoważnia ona każdego „by w imię wspólnej podstawowej doktryny w odpowiedni sposób przypominał najwyższym nawet potentatom ich różne istotne obowiązki" [3]). Comte chciałby uchronić lud od zamętu walk politycznych, które podważają fundamenty porządku gospodarczego. Wydaje mu się także, iż **patronat możnych tego świata jest najlepszą gwarancją rozwoju umysłowego proletariatu**. Toteż radzi, by proletariusze z całym spokojem, wyzbyci chęci zysku i ambicji, oddali się studiom teoretycznym i czerpali z nich, jak ze sztuk pięknych, miłą rozrywkę po codziennych trudach. Albowiem źródło reform społecznych tkwi w reorganizacji życia duchowego; zaspokojenie wszelkich potrzeb ludu zależy bardziej od poglądów i obyczajów, niż od podziału władzy i instytucji.

Tak wyrażał się Comte'owski program proletariatu. Był to w gruncie rzeczy program kapitalistów francuskich. Z ich potrzeb i rozwoju ówczesnych stosunków produkcji wyrosła filozofia cywilizacji przemysłowej, owa liberalna i od początku swego antyproletariacka doktryna pozytywna. Rzuca ona hasło rozwoju wiedzy, ale w sposób utylitarny, tylko w zastosowaniu do rozwoju techniki przemysłowej; stąd sam program wychowania jak i udział proletariatu w wiedzy pozytywnej ma charakter czysto deklaratywny w sformułowaniu, w tendencjach społecznych zaś jest programem niewoli, w jaką kapitał zakuwał proletariat nawet przez hasła wiedzy eksploatowanej na użytek gospodarki kapitalistycznej i niepowiązanej z życiem społecznym, przez program oświaty obcy potrzebom i dążeniom wyzwoleńczym proletariatu, przez system polityczny wykluczający lud od władzy. Tendencje te były wspólne dla rozwoju kapitalizmu w różnych krajach; musiały również zaważyć na tym, co stanęło **u kolebki kapitalizmu polskiego** jako pozytywistyczne hasło pracy u podstaw i pracy organicznej.

Comte wydał ostatni, szósty tom swego „Kursu filozofii pozytywnej" w r. 1842. Cele miał ambitne. Chciał położyć kres „anarchii umysłowej", będącej według niego głównym źródłem nieszczęść społecznych i politycznych. Filozofia pozytywna winna była „zagrodzić drogę wszelkim rewolucjom przez wprowadzenie pewnej liczby idei ogólnych, mających służyć za fundamenty dla powszechnej teorii porządku społecznego". Mimo takie plany nie obce mu były trzeźwe refleksje, prawdziwe lucida intervalla wielkich umysłów: liczył bowiem tylko na 50 czytelników swoich tomów. I podobnie jak pewien wieszcz narodowy, za grobem widział swoje zwycięstwo. Nie przeszkadzało mu to jednak w sześć lat później wydrukować bardziej dostępne streszczenie swojej filozofii w **„Discours sur l'esprit positif"**. Streszczenie Comte'a pulsuje jakimś nieznanym „Kursowi filozofii" tonem polemicznym. Nie trudno tego dociec. Był to rok 1848. Rewolucja lutowa ukazała istotne oblicze proletariusza: nie tylko niszczącego utrwalający się porządek kapitału francuskiego, lecz sięgającego po władzę polityczną nad kapitałem. Rewolucja, jak wiadomo, załamała się. Na jej barykadach rozpadła się również filozofia pozytywna ze swoimi ideami hegemonii „potentatów" nad „kontemplacyjnym" proletariatem. Rewolucja ta kładzie przedział między dziejami kapitalizmu francuskiego a resztą Europy. Jednocześnie dzieli pozytywizm francuski jako ideologię mieszczaństwa w fazie przedrewolucyjnej od tego typu ideologii innych krajów, w których stosunki produkcji i walki społeczne kształtowały się w innych warunkach i powodowały odmienne systemy ideologiczne. Rewolucja lutowa i wszystkie rewolucje, które wstrząsnęły państwami zachodniej Europy, były echem wielkiego przewrotu ekonomicznego. Przewrót ten polegał na całkowitym przezwyciężeniu resztek przeżytkowych form manufaktury i ugruntowaniu wielkiego przemysłu. „Ta właśnie rewolucja przemysłowa — pisał Engels we wstępie do „Walk klasowych we Francji, 1848 — 1850" — wniosła dopiero wszędzie jasność do stosunków klasowych, usunęła mnóstwo pośrednich form, które były przeżytkiem epoki manufaktury, a we wschodniej Europie nawet rzemiosła cechowego, stworzyła prawdziwą burżuazję i prawdziwy wielkoprzemysłowy proletariat i wysunęła je na pierwszy plan rozwoju społecznego". Jest to charakterystyka stosunków europejskich z pierwszej połowy w. XIX. W Polsce stosunki klasowe były dalekie od tej jasności, ale i procesy kapitalizacji widoczne były u nas tylko w swoich groźnych konturach europejskich. Gdy pozytywiści podnosili swój organicznikowski alarm, na Zachodzie już począł się tworzyć walec imperializmu. Historia nasza zna przyczyny zapóźnienia gospodarczego i potrafi je wyjaśnić. Charakterystyczne jest przecież zapóźnienie ideologiczne, wiedza o współczesnych procesach społecznych, walka obozów i samowiedza społeczna inteligencji organicznikowskiej. Inteligencja ta najprzeróżniejszej konduity socjalnej postrzegała zasadniczy nurt, którym po okresie romantycznego zastoju poczynało płynąć życie społeczne. Ale nie dostrzegała, że ogarnia ono tylko bankierów, przemysłowców oraz klasy pośrednie i inteligencję. Wymowne, iż „Przegląd Tygodniowy", bojowy organ warszawskich pozytywistów, usunął zupełnie z pola swoich obserwacji społecznych największy ośrodek robotniczy: Łódź. Sprawami robotniczymi pozytywiści nie zaprzątali swoich głów. Podobnie sprawą chłopską. Ich program w tej sprawie był równie mętny, jak nastawiony na eksploatację wsi jako źródła sił roboczych i akomodację ich dla potrzeb rozwijającej się gospodarki kapitalistycznej. Czy znajduje to odbicie w programowym haśle pozytywistów: w pracy organicznej i pracy u podstaw?

Program tej pracy rozwinęła w Polsce dynamika rozwoju kapitalistycznego na wiele lat przed powstaniem styczniowym, sformułował go zaś w r. 1862 Józef Supiński w dwutomowym dziele „Szkoła polska gospodarstwa społecznego". Supiński, uczestnik powstania listopadowego, przeżył kilkanaście lat za granicą w niepospolitym zamęcie umysłowym emigracji, wybrnął jednak z sytuacji znacznie lepiej niż inni. Przebywał we Francji do r. 1844, większą część swego czasu spędził w Paryżu, gdzie pod koniec swego pobytu został dyrektorem przędzalni. Lata 1830—44 to nie tylko okres powstawania systemu filozofii Comte'a, ale czas przekształcania się kapitału francuskiego w formy wielkokapitalistyczne. Supiński poznał nie tylko tło, na którym tworzyła się baza rozwoju gospodarczego i stosunków produkcji, lecz poznał także system wiedzy, który rewolucjonizował świadomość społeczną poprzedniej fazy gospodarczej feudalizmu i ukazywał perspektywy rozwoju burżuazji z całym bagażem ideologii, formułującej prawa rozwoju i stabilizacji jej klasowego panowania.

Złośliwy los nie pozwolił mu przeżyć we Francji czasu rewolucji lutowej, co w ramach jego doświadczeń i wiedzy społecznej nie mogło pozostać bez wpływu na jasność myśli społecznej.

Zarówno doświadczenia jak i doktryny zachodnie znalazły dokładne odbicie w dziele Supińskiego. Krytyka pozytywistyczna uznała „Szkołę polską gospodarstwa społecznego" za biblię rodzimego liberalizmu. Piotr Chmielowski w kilkadziesiąt lat po ukazaniu się tej książki witał w Supińskim oryginalnego teoretyka flozofii pozytywnej, analogicznej do systemu Comte'a, lecz jak się Chmielowskiemu zdawało, wypracowanej niezależnie od niego. Zarówno jednak oryginalne walory dzieła jak i uznanie dla niego spotkały autora w roku 1865, kiedy kapitalizm polski ruszył pełną parą na podbój kraju. Ale w kilka pierwszych lat po ukazaniu się książki było głucho o niej na całej polskiej ziemi, zarówno we Lwowie, gdzie się ukazała drukiem, jak Krakowie, Warszawie, Poznaniu. Dopiero Franciszek Krupiński zaznajomił z nią czytelników w recenzji, podwójnie historycznej: zawiera ona pierwszą wzmiankę o Supińskim i pierwsza wprowadza w światek umysłowy Warszawy oblubienicę młodej prasy: filozofię pozytywną „coraz więcej zyskującą zwolenników".

Zarówno czas niepowodzeń jak i sukcesów tej książki mają swoje przyczyny. Lata 50 i 60 stanowią w Polsce ledwie okres przejścia od manufaktury do przemysłu maszynowego. Jest to jednocześnie czas manifestacji patriotycznych i egzaltacji narodowych przed powstaniem. Ani więc względy polityczne, ani ekonomiczne nie mogły aktualizować książki, jawnie hołdującej zasadzie suwerenności gospodarczej nad polityczną i głoszącej hasła pracy, handlu, oszczędności nauki i oświaty, jako nowych cnót i zadań obywatelskich kraju.

Ale w roku 1865, kiedy dzieło Supińskiego wprowadza w świat Krupiński, mamy już w Kongresówce 10 wielkich fabryk włókienniczych, w tym Scheiblera i Grohmana w Łodzi, Kruschego w Pabianicach, gigant fabryczny w Żyrardowie, garbarnie Temlera i Schwedego w Warszawie. Jest to jednocześnie okres politycznych refleksji popowstaniowych na tle zniesienia pańszczyzny. Zarówno hasła pracy organicznej jak i teoria rozwoju społeczeństwa kapitalistycznego znajdują zrozumienie, stają się rewolucyjną ideologią polskiego mieszczaństwa. Chce ono ratować naród i budować jego gospodarkę.

Jakimi drogami? Supiński widzi w pracy i wiedzy dwa zasadnicze motory postępu społecznego. Postęp ten dokonać się może tylko w narodzie, w którym istnieje harmonijne współżycie. O harmonii społecznej decyduje wymiana usług według zasad, które kierują życiem narodu, jako społecznego„ organizmu". Organizm społeczny zaś działa zgodnie z prawami podziału funkcji. Zakłócenia tych funkcji uniemożliwiają rozwój. Potęgą narodu jest bogactwo, ubóstwo — objawem jego upadku. Naród, który chce wydobyć się z nędznego położenia, musi oszczędzać. Oszczędność to cnota obywatelska nowego społeczeństwa. Supiński jest wrogiem pańszczyzny i żąda zniesienia niewoli chłopskiej. Główny nacisk [illegible] dzie jednak na „uobywatelnienie" ludu przez oświatę. Wiedza jego zdaniem jest najskuteczniejszym środkiem rozwiązywania konfliktów społecznych. Stąd żądanie społecznego wychowania ludu. Obowiązki wychowawcze ciążą na „górnych" warstwach, tj. szlachcie i duchowieństwie.

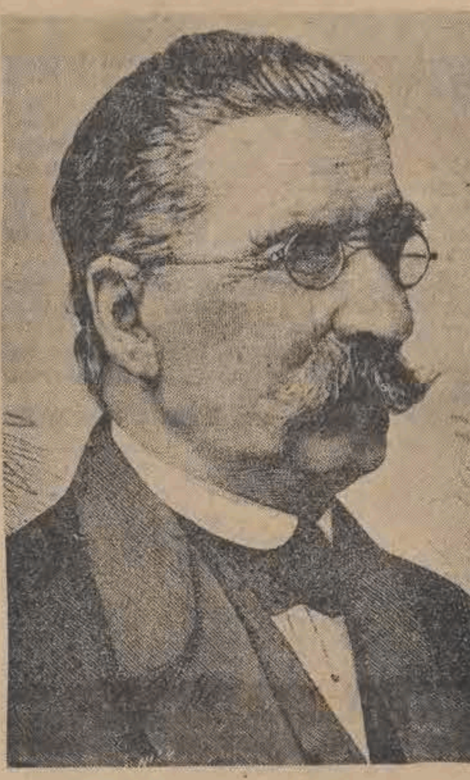
Kiedy od tych wstępnych sformułowań organicznikowskich przesuwamy się w okres dojrzałości i rozkwitu pozytywizmu, uderza nas mgławicowość i frazeologiczność programowa pozytywistów.

Świętochowski jest jednoznaczny społecznie, kiedy zwalcza konserwatyzm i feudalne pretensje szlachty i magnaterii wobec uwłaszczenia chłopów. Ale kiedy ukazuje sprawę chłopską w jej współczesnej istocie społecznej, zatraca wszelkie przesłanki i perspektywy historyczne. „Chłop uznany jest obecnie przez ustawy krajowe za jednostkę podległą tylko tymże prawom. Z wszelkich zależności prywatnych najzupełniej jest zwolniony. Na równi z urzędnikiem, przemysłowcem, szlachcicem, magnatem ma przyznane prawo obywatelskie". Przyznawszy chłopom równe prawa z innymi i usadowiwszy ich obok przemysłowca i magnata, staje się nagle bezradny i nie bardzo wie, co robić z tym wyraźnie niedobranym towarzystwem. Nie bardzo wierzy, żeby takie wyzwolenie mogło być rzeczywiste. Szuka źródła tego fałszu i znajduje je w sposób najmniej oczekiwany.

„Pierwszą i bez wątpienia od nas zależną przyczyną ujemnych następstw wyzwolenia stanu kmiecego była jego ciemnota i niedojrzałość". Oczywiście od tej diagnozy prowadziły drogi pracy organicznej nie do zmiany sytuacji społecznej chłopa, ale do pracy wychowawczej. Wiele też włożono serca w tę pracę. Nie omieszkano też wyjaśnić, kto ma wychowywać i dla kogo.

„Na klasach... majętnych i oświeconych leży obowiązek... usuwania przeszkód, jakie nastręczają się naturalnemu rozwojowi społeczeństwa — stwierdza lapidarnie Aleksander Głowacki — w znanym „Szkicu programu w warunkach obecnego rozwoju społeczeństwa" a we wcześniejszych cyklach artykułów o mieszczaństwie, drukowanych w Niwie 1872 r. stwierdza co następuje:

„Jeżeli zwrócimy się na pole sztuki i rzemiosł, handlu i przemysłu, spotkamy tam... mnóstwo ludzi pracowitych i zacnych, pochodzących od mieszczan średnich, pozostających często w tej sferze, nierzadko zaś dobijających się znaczenia, sławy i majątku. Z istnienia podobnej klasy w społeczeństwie ten przede wszystkim wynika pożytek, że ono to właśnie łączy go z dołem, że jest ogniwem spajającym cały łańcuch społeczny". Oto mamy i wizerunek żywy społeczeństwa (góry i doły społeczne) i drogi awansu społecznego (sława i majątek) i szlachetną rolę inteligencji. Ideały organicznikowskie inteligencji sformułował Prus w „Najogólniejszych ideałach życiowych". „Ideałami tymi są: Szczęście, Doskonałość, Użyteczność. Doskonałość polega na istnieniu rozmaitych części i własności, które tworzą całość zorganizowaną, gdzie wszystko wspiera się wzajemnie. Szczęście w istotach żywych wynika ze zmian wspierających życie, zdrowie i rozwój. Nareszcie Użyteczność polega na takich czynach, które wywołują Szczęście i Doskonałość". Trudno o wyższy stopień tautologii i abstrakcji. Analiza różnych deklaracji pozytywistycznych utwierdza w przekonaniu, że faza kapitalizmu polskiego ukazała perspektywy nowego społecznego rozwoju w kraju i tym perspektywom dała się uwieść pozytywistyczna inteligencja. Nie zdobyła się jednak ona nigdy na decyzję polityczną. Dlatego reformy społeczne, walki polityczne, sprzeczności ustrojowe stanowiły w jej świadomości chaos, którego wyrazem jest cała ideologia pracy organicznej.



Józef Supiński

Świętochowski napisał artykuł „Nowe drogi polityczne", a Orzeszkowa w r. 1880 rozprawę o patriotyzmie i kosmopolityzmie. Ale próżno szukalibyśmy w tych wypowiedziach jakiegoś kontaktu z myślą polityczną wyraźnie burżuazyjną lub zdecydowanie proletariacką. Świętochowski opowiada się (w r. 1876) za carską polityką słowiańską, a Orzeszkowa snuje rozważania o obywatelstwie świata w całkowitym oderwaniu od społecznej i politycznej rzeczywistości czasu.

Liberalizm polski, reprezentowany przez hasła pracy organicznej pozytywistów, był dziwnie nieskoordynowanym zlepkiem ideologicznym. Gdy w latach 80 i 90 zerwane zostały wszelkie złudzenia co do społecznego i narodowego charakteru kapitalizmu polskiego, rozpadła się cała inteligencja organicznikowska. Krupiński zapadł się w marazm starczy i przeczył samemu sobie. Świętochowski stał się zagończykiem narodowym. Orzeszkowa wpadła w ludomaństwo i kult świętej rodziny, Prus stał się wrogiem postępu, Ochorowicz oddał się mediumizmowi, Bogacki zaparł się organicznej wiary, papież obozu pozytywistycznego, Adam Wiślicki, rozpłynął się w utopii socjalistycznej. Ani jednej postaci spośród koryfeuszów pozytywistycznych w ruchu robotniczym, ani jednej w szeregach rewolucyjnych. Rzuca to charakterystyczne światło na hasła pracy organicznej i pracy u podstaw, które miały wyrażać ogólnonarodowe tendencje odrodzenia i odbudowy kraju przez mieszczaństwo.

W gruncie rzeczy umacnia się ono jako klasa panująca i budująca swoją zamożność. Hasła pracy u podstaw nie oznaczała nic innego jak teorię rozbudowy potencjału gospodarczego polskiego kapitalizmu. „Praca organiczna" wyrosła na tej teorii jest hasłem mobilizacyjnym dla proletariatu miejskiego i wiejskiego. Nauka, wiedza, technika, oświata to stopnie awansu społecznego dla tych, którzy potrafią oderwać się od swego podłoża społecznego, zerwać z własną klasą społeczną i wrosnąć w burżuazję jako twórcze, ugruntowujące jej panowanie siły.

Praca organiczna nigdy **nie oznaczała** takiej wiedzy i nauki, która by miała służyć **ogólnonarodowemu rozwojowi kultury, oświata** nigdy nie była traktowana **jako narzędzie postępu mas ludowych, technika** nigdy **nie służyła zaspokajaniu powszechnych potrzeb.** Wszystkie te elementy kultury pozytywistycznej stanowiły dobra ekskluzywne, zamknięte ściśle w kręgu klasowym i pilnie strzeżone przed „roztrwonieniem". Wszystko to, co w pięknych nowelach Orzeszkowej, Konopnickiej, Prusa i Żeromskiego nosi charakter bezinteresownej służby społecznej i oznaczane jest jako wyraz racjonalistycznej organizacji życia zbiorowego, w gruncie rzeczy oznacza rekrutację mas w przyspieszone tempo rozwoju kapitalistycznego i poza tak ujętym klasowo programem wychodzi jedynie w rozmaite odmiany **złudnych** wiązań **„solidarystycznych".**

[1]) August Comte (1798—1857), filozof fr., socjolog, twórca pozytywizmu.
[2]) „Discours sur l'esprit positif".
[3]) Ibidem.

U początku Roku Chopinowskiego

Jerzy Cios

TRZY NAJPOPULARNIEJSZE METODY

Rok Chopinowski w Polsce przyniesie poważne ożywienie w dyskusji muzykologicznej. Nie mało już przysłużyły się tu próby interpretacji poszczególnych dzieł, noszące wyraźne znamiona walki z idiografizmem który tak szeroko przyjął się na gruncie historii muzyki, gdzie uważa się go dotąd za najpoważniejszą dyrektywę badawczą, za najlepiej odpowiadającą strukturze dyscypliny o tak spacyficznym przedmiocie jak muzyka. Wszystkie te poczynania są bezsprzecznie zjawiskiem interesującym i korzystnym w zestawieniu z usiłowaniami innego typu zaklasyfikowania czy to twórczości Chopina, czy też innych kompozytorów, zaklasyfikowania, w którym zawarta jest przecież pewna koncepcja kultury, jakieś ujęcie zadań nauk historycznych. A właśnie dla laika, dla obserwatora nie posiadającego dostatecznej erudycji, by wysuwać jakieś inne hipotezy niż badacz-strukturalista odnośnie — dajmy na to — koncertu E-mol, te inne hipotezy, z szerszego kręgu teorii kultury, wydają się najistotniejsze.

Możebym milczał przyglądając się całej dyskusji ze spokojem niezainteresowanego (bom nie muzykolog), gdyby jej problematyka nie dotyczyła mnie tak bezpośrednio, gdyby wypowiedzi zarówno już opublikowanych jak i nie drukowanych jeszcze (a pchających się na szpalty) nie zebrało się tak wiele, gdyby wreszcie nie pewne niebezpieczeństwa tkwiące w nich i zagrażające, moim przynajmniej zdaniem, dalszemu rozwojowi muzykologii, a co za tym idzie, historii sztuki. Wszystkie bowiem spośród ostatnio ukazujących się prac o Chopinie hołdują trzem koncepcjom dziejów muzyki. Pierwsza z nich jako przedmiot nauki zakłada **biografię autora** (autora dzieł muzycznych), druga — łączność między **twórcą a kompozycją**, która tłumaczy się tylko przy pomocy **losów artysty**, trzecia — usiłuje uzależnić rozwój sztuki **bezpośrednio od sił produkcyjnych**, hołdując tym samym tak zwanemu **ekonomizmowi.**

Kiedy czytamy niektóre wypowiedzi, odbiera się wrażenie, że przeciw hasłom ograniczenia wszelkich badań do samego dzieła powstał z grobu sam Saint-Beuve. Oczywiście myślimy to wówczas, gdy leżą przed nami prace o charakterze biograficznym. Wracamy w ten sposób do pierwszej połowy XIX wieku. Wtedy bowiem przedmiotem zainteresowania badacza szuki był jedynie i wyłącznie sam twórca.

Rzecz prosta, wyjaśnienie życiorysu przebiega u niektórych polskich muzykologów inaczej. Ale istotna metodologiczna dyrektywa pozostała bez zmian.

Wpisuje się osobę kompozytora w dzieje społeczne, wyjaśnia jego zachowanie i poglądy normami obyczajowymi grupy, w której przebywał. Wiemy już, że Chopin na przykład obracał się wśród mieszczańskiej finansjery, będąc wytworem środowiska szlacheckiego. Wszystko jak dotąd pięknie... Tylko czy jest to przedmiot dociekań muzykologa? Czy może przenieśliśmy się na grunt jakiejś innej dyscypliny? Orzekamy już nie o dziełach muzycznych, a o dziejach poszczególnych artystów. Zmieniliśmy po prostu przedmiot nauki.

Dlatego więc tylekroć padamy ofiarą pomyłek, kiedy jako rozprawy z zakresu historii muzyki otrzymujemy życiorysy Beethovena. Z takim typem prac należy bezwzględnie walczyć, gdyż nie mają one nic wspólnego z historią sztuki, a nie wiem, czy jest dla nich miejsce na gruncie innych dyscyplin (np. historia społeczna). Tolerowanie ich natomiast w granicach muzykologii, uznawanie za osiągnięcia nowatorskie, godne naśladowania, prowadzi do likwidacji tej nauki, której podstawowym zadaniem jest przecież wyjaśnianie struktur dzieł muzycznych i ich systemów estetycznych.

O ile wyżej wzmiankowanych poczynań nie można traktować jako poważne, o ile widzieć w nich trzeba niestety pewien odwrót badawczy, związek z zapóźnionymi wzorami biografistyki, o tyle druga tendencja, zakładająca **jedność twórcy i dzieła** jest najzupełniej konsekwentnym, ze względu na przedmiot badania, spadkiem po szkole pozytywistycznej, a nawet po diltheyowskich dyrektywach odnośnie naukowego postępowania z dziełami sztuki. Ale też konsekwencje wynikają stąd smutne. Mickiewicz kochał się, więc napisał IV część „Dziadów“. Chopin tęsknił za ojczyzną, a więc powstały mazurki. Przykłady takie można by mnożyć w nieskończoność. Oczywiście, są to przykłady najordynarniejszego wydania takiej metody w historii sztuki. Dziś podlega ona poważnym modyfikacjom. Przyjęto już założenie, że do dzieła wchodzi artysta nie tylko, jako psychika indywidualna, lecz także jako pewna osobowość ukształtowana w konkretnym czasie i w konkretnym środowisku. Znaczy to tyle: jeśli człowiek przebywający w pewnym kręgu społecznym jest pisarzem, to twórczość jego będzie ściśle uzależnioną od tego kręgu. Naturalnie, owo tak wzruszające założenie nie zostaje nigdzie udowodnione. No, bo i udowodnionym być nie może. Cały szereg faktów przeczy tej udoskonalonej i skorygowanej zasadzie Hipolita Taine'a. Przede wszystkim nie możemy poznać ogółu bodźców działających na twórcę (brak empirycznych danych). W rezultacie więc da się stosować tu jedynie jakąś hipotetyczną znajomość jego psychologii. Chcąc zaś uniknąć tego, popada się bezpośrednio w mechanistyczny determinizm, który wystąpił ongiś tak wyraźnie w pewnym okresie działalności krytyczno-literackiej Jerzego Plechanowa. Twórca był całkowicie uzależniony od środowiska. Przebywał w nim, wychował się — musiał więc je reprezentować. Koncepcji tej wyraźnie przeciwstawił się Lenin z okazji Tołstoja, publikując swoje szkice o twórczości autora „Wojny i pokoju“, mogące służyć dziś za prawdziwy wskaźnik drogi badawczej na gruncie historii sztuki.

Przecież stosunki Chopina z kołami francuskiej burżuazji nie pozwalają nam na określanie **jego muzyki** mianem mieszczańskiej przy równoczesnym podawaniu **faktów z życia** wielkiego kompozytora, jako jedynego uzasadnienia mieszczańskości jego muzyki. To tak, jakgdyby „Tańczącą Iris“ Watteau tłumaczyć rzemieślniczym rodowodem francuskiego malarza, albo w „Portrecie Don Carlosa z rękawiczką“ Velasqueza dostrzegać pochwałę feudalizmu, dlatego tylko, że Velasquez był synem hiszpańskiego szlachcica. Na koniec powstaje problem zgoła nie dający się rozwiązać. Jak filozofia Marksa mogła służyć proletariatowi, skoro genealogia społeczna autora „18 Brumaire'a“ i środowiska, w których przebywał, determinowałyby go raczej w przeciwnym kierunku? Takie właśnie fakty, empiryczne wydarzenia, najdotkliwiej dyskredytują tę pseudomarksistowską a właściwie z marksizmem sprzeczną koncepcję kultury, która niestety pojawia się ostatnio coraz częściej na gruncie całej historii sztuki. Mechaniczne uzależnianie twórczości artysty od jego biografii społecznej, przy czym ta ostatnia rozstrzyga o wartości wszelakich dzieł, prowadzi przecież bezpośrednio do fałszywych ocen, do bardzo przykrych pomyłek. Przezwyciężenie podobnych tendencji w imię marksowsko-leninowskich dyrektyw odnośnie dziejów kultury winno stać się dalszym krokiem w unaukowieniu takich dyscyplin jak na przykład muzykologia, jak **przede wszystkim** — muzykologia!

Trzeci i bodaj że najciekawszy, a zapewne najbardziej obiecujący typ badań na gruncie historii muzyki reprezentuje niewątpliwie artykuł Golachowskiego „Fortepian Chopina“ („Wieś“ nr 8). Choć ta odważna, nowatorska nawet praca, nie wolna jest od niedociągnięć tak metodologicznych jak i niekiedy logicznych. Błędy w rozumowaniu, które jak przypuszczam, były spowodowane pośpiechem pisarskim autora, jako mniej ważne, chyba przypadkowe, pominę milczeniem — zajmę się głównie próbą genetycznego uzależnienia poszczególnych dzieł muzycznych od faktów społecznych.

Dowiadujemy się najpierw, kiedy powstał fortepian, kiedy się przyjął i jakie skutki pociągnęło to za sobą w całej twórczości kompozytorskiej wieku XIX. A więc **ekonomizm.** Rozwój sił wytwórczych bezpośrednio wpływa na sztukę. Pojawiają się nowe instrumenty, oczywiście w miarę postępu form produkcji i one wpływają w jakiś bardzo istotny sposób na kierunek, w którym dokonywuje się ewolucja wewnątrz szeregu zjawisk artystycznych. Niestety, sformułowanie to ma tylko pozory słuszności. Całą bowiem sprawę uproszczono i to poważnie. Fakty zaczynają przeczyć interpretacji Golachowskiego. Dzieje się to nawet wówczas, gdy dochodzimy do kluczowego punktu w wyjaśnianiu dzieł Chopina. Owszem, zgadzamy się na wpływ rozwoju techniki w odniesieniu do twórczości muzycznej. Ale nie wiemy, dlaczego fortepian wyparł orkiestrę? „Mieszczanin nie mógł sobie pozwolić na posiadanie własnej orkiestry“ — argumentuje Golachowski. I popełnia błąd. Burżuazja zachodnio - europejska niewątpliwie dysponowała dostatecznymi środkami finansowymi, by nie być zmuszoną do wykorzystywania jako najtańszego instrumentu fortepianu. Toteż motywacja taka siłą rzeczy upada. Ale wyłania się od razu nowe zagadnienie niemniej ważkie i niemniej pasjonujące. Narodziny nowego instrumentu determinują niewątpliwie twórczość muzyczną bardzo ogólnie, wpływając na nią w szerokich granicach. Bo przecież utwory fortepianowe pisali i Chopin, i Liszt, i Schumann, i Schubert, i Debussy, i Ravel... Toteż specyfika dzieł polskiego kompozytora nie zostaje jeszcze przez fortepian objaśniona. Nie wytłumaczymy bowiem (zastosowawszy metodę Golachowskiego), na czym polega odrębność koncertu E-mol Chopina w porównaniu z koncertem Es-dur Liszta.



Fryderyk Chopin
(Mal. A. Miroszewski 1827 r.

Wszystkie uwagi, które tu poczyniłem, nie mają na celu pośpiesznego uśmiercania tych wszystkich prób i poszukiwań polskich muzykologów, nie dążą do wylania dziecka wraz z kąpielą, mają jedynie wskazać na rodzaje i zakresy metod badawczych muzykologii polskiej, z których jedne mogłyby, jak sądzę, wpłynąć niekorzystnie na dalszy tok badań, rozpoczętych tak chwalebnie artykułem Zofii Lissy w „Myśli Współczesnej“ i trafną wypowiedzią Bolesława Woytowicza na uroczystym otwarciu Roku Chopinowskiego, — inne zaś wymagają metodologicznego pogłębienia.

Krzysztof Sławiński

O NIEPRZEMYŚLANYCH MYŚLACH

Z zaciekawieniem i ze zdziwieniem przeczytałem w Nr 8 (181) „Kuźnicy“ artykuł Zygmunta Mycielskiego „Kilka myśli o Chopinie i polskiej muzyce współczesnej“. Doprawdy trudno go pozostawić bez odpowiedzi. Chciałbym się jednak zastrzec, że nie chodzi mi tylko o artykuł Mycielskiego. Sprawa jest znacznie szersza — i poważniejsza. Te „Kilka myśli o Chopinie“ — to tylko symptom niedomagań, którym wciąż jeszcze ulega część naszych muzykologów. Nawet nie precyzując błędów tych niedomagań — nie ulega wątpliwości, że należą one do zakresu teorii kultury — albo ściślej, do anachronizmów metodologicznych, jakimi wciąż jeszcze posługują się w swych badaniach i rozwiązaniach muzykolodzy. Świadczą one o zupełnym braku związku z konsekwentną teorią kultury — są wynikiem eklektyzmu różnych teorii kultury i światopoglądów.

Artykuł Mycielskiego jest niewątpliwie dla tego typu rozważań wysoce charakterystyczny. O czym mówi? „Chciałbym tylko skierować uwagę na to, co mi się wydaje zagadnieniem centralnym: na istotę liryzmu, artyzmu, romantyzmu i dyscypliny“. Intencje autora są jasne i zrozumiałe. Tylko, że przy wyjaśnieniach zaczynają się niepokojące komplikacje. Np. co jest „istotą“ Chopina? „U Chopina nie temat mazurka, krakowiaka, czy kolęda w scherzu jest ważne, lecz KLIMAT — rzecz trudniejsza do określenia niż czterotaktówka, którą moglibyśmy odszukać czy porównać z piosenką ludową zanotowaną przez Oskara Kolberga. STRÓJ, PRZETWORZENIE, ŹRÓDŁO NATCHNIENIA — jest ISTOTĄ tego, co jest jego kreacją i wynalazkiem, i co pretenduje do miana polskiego stylu muzycznego“. (Podkreślenia nasze).

I teraz już nie wie się, co jest „istotą“ Chopina — czy KLIMAT utworu, czy też STRÓJ utworu, albo PRZETWORZENIE albo ŹRÓDŁO NATCHNIENIA? Bo te cztery pojęcia mają zupełnie inne znaczenie, a przecież jedna rzecz nie może mieć czterech „istot“. A w ostateczności tego rodzaju określenia mówią tyle tylko, że specyfiką Chopina jest JEGO SPECYFIKA. Czyli masło maślane.

Stwierdziwszy, że „klimat“ itd. — jest istotą stylu chopinowskiego, autor brnie w nowy gąszcz nieporozumień: „Tworzył Chopin ten styl tym łatwiej, że był romantykiem. Romantyzm jest polskim stylem — w sztuce przynajmniej“... Dalej: „Jedną z cech romantyzmu jest liryzm. Słowianie lubują się w nim, jak Francuzi w klasycyźmie, a Hiszpanie w baroku“. I pod koniec: „To sam artysta, rzemieślnik przynależy do jakiejś grupy etnicznej, dlatego wszystko, co tworzy, staje się sztuką narodową, a nie dlatego, że czerpie z takiej czy innej tematyki“. Finis comediae. A więc ostatecznym źródłem muzyki Chopina jest BIOLOGIA albo DUCH NARODU (Niemcy powiedzieliby zapewne Völkerpsychologie). I wypisuje Mycielski to wyjaśnienie ot, tak, po prostu — jakby ono było czymś zupełnie nie podlegającym dyskusji. Jakby polemika, którą przed dwoma prawie wiekami toczył Helvetius z Monteskiuszem (nie chcę się powoływać na późniejsze dyskusje, których wydźwięk byłby dla Mycielskiego o wiele mniej przyjemny), na temat wrodzonych cech narodowych nie miała charakteru zasadniczego. Dlaczego romantyzm jest polskim stylem narodowym; liryzm — charakterystyczną właściwością Słowian; barok — Hiszpanów; a klasycyzm — Francuzów? Trudno zrozumieć... i nie wypada zrozumieć. Bo gdyby zrozumieć, wnioski trzeba by formułować zbyt ostro. Wiemy, że romantyzm (w każdym bądź razie ta forma artystyczna, którą się potocznie nazywa dziewiętnastowiecznym romantyzmem) rozwijał się wszędzie — w Europie i w Ameryce — a do Polski przyszedł nawet dość późno. Dlaczego jest on właśnie typowo polski — znów nie wiemy. Może by to ktoś wyjaśnił — kto wie lepiej. Wiemy bowiem, że był on wyrazem sytuacji społecznej pewnych klas, kiedy na Zachodzie rozwijał się już ustrój kapitalistyczny, (a więc miał charakter historyczny a nie ahistoryczny — jak chciałby dowieść Mycielski). Że jest produktem epoki, sprzeczności społecznych, stanu intelektualnego itd. — a nie wyrazem jakiejś grupy ETNICZNEJ. Mycielski sprowadzając zagadnienie genezy społecznej twórczości Chopina — do grupy etnicznej — co najmniej spłyca zagadnienie i sprowadza na tory, na które dyskusja o Chopinie nie powinna w ogóle wejść. W trakcie takich rozważań Mycielski określa „istotę“ charakteru i geniuszu Chopina:

„Z trzeźwych kart tego romantyka wieje dziwna i prosta, młodzieńcza świadomość wiszącego jak fatum nieszczęścia. Smutek ten jest rzadko wyrażany wprost, potęguje się latami i chorobą, przegląda z ironicznych zdań i odsłania niezaspokojony stosunek do świata i ludzi, jakiś niedosyt, będący treścią artyzmu. Mały człowiek nie stworzy nigdy wielkich dzieł. „Biedne chłopczysko“ organizowało sobie życie jak mogło, przyjaciele pomagali — on pisał ciągle testament i dbał o jego czytelność. Ten pozorny rozdźwięk człowieka i napięć emocjonalnych, które jego dzieło zawiera, jest u Chopina niezwykły. Nie widzimy u niego tej „zażartości zawodowej“, którą zdradzają biografie wielkich mistrzów. Coś innego jest jego cechą, pozorna swoboda sposobu bycia, przy całym natężeniu świadomej woli twórczej. Bardzo ciekawy styl życia, inny od dotychczasowych geniuszów, czy „tytanów pracy“.

I teraz nie wiemy już nic. Dotąd Chopin należał do grupy etnicznej — teraz należy do jakiegoś świata METAPSYCHICZNEGO. Chopin przestał być człowiekiem społecznym, a przeobraził się... W co? Wybaczcie, ale w mistyfikację.

A przecież sam Mycielski pisze:

„Trudno jest myśleć o Chopinie spokojnie, a przecież trzeba myśleć — jak o każdej rzeczy — nie histerycznie, lecz właśnie spokojnie. Jako romantycy, mamy skłonność do histerycznego myślenia. Zwłaszcza gdy chodzi o tak zwane „świętości narodowe“ — obracamy się najchętniej w kręgu wyświechtanych frazesów“.

Rzeczywiście należy myśleć bez histerii i bez frazeologii. Wówczas można by o Chopinie napisać z sensem. A nie — jak się wyraża Mycielski — „mętliznę“, którą przecież Chopin tak ostro potępiał.

Artykuł Mycielskiego jest tylko małym wycinkiem tego zaułku, w którym tkwi u nas jeszcze część muzykologów. Jakże poważnie i z o ile większą precyzją pisze o Chopinie KOMPOZYTOR, Bolesław Woytowicz w Nr 9 (222) „Odrodzenia“. Jeśli muzyka polska ma godnie kroczyć śladami Chopina — trzeba też, aby chopinologia postępowała za jego nader słuszną zasadą i unikała „mętlizny“.

Józef Bieniek

SŁUŻBA

Słynął Talaga w Dolinie i okolicy, a sława jego różny miewała wymiar i różną treść. Równi mu w morgach kmiecie sławili jego spryt i szczęśliwą w gospodarstwie rękę, biedacy pomstowali nań za niesłychaną chciwość, skąpstwo i brutalność, zaś jedni i drudzy zgodnie orzekali, że o ile gospodarstwo Talagi stanowić może idealny wzór ładu i dostatku, o tyle on sam przedstawia jeszcze doskonalszy typ bydlaka, wyzutego z olbrzymiej większości uczuć właściwych gatunkowi ludzkiemu.

Jedną z naczelnych a wielu cech drańtswa Talagi był system prowadzenia prac w czterdziestomorgowym gospodarstwie przy pomocy przypadkowo angażowanych niedołęgów, kalek i ułomniaków. Jak lata długie zawsze kwaterował u Talagi jakiś „bejdok" — głuchy, lub niemy, pokręcony lub z wolami jak wiaderko. Bywało ich po dwóch i trzech na raz. Spali w stajni na szerokim wyrku, przykryci workiem, worek mając za posłanie i poduszkę. Żywili się na „osobnym stole", stanowiącym coś pośredniego między żarciem dla świni a stołem gospodarza i jego rodziny.

Pracowali za liche krypcie na tandecie kupione i takiż, tamże nabyty przyodziewek. Najczęściej jednak za darmo, gdyż Talaga miał swoistą metodę działania, polegającą na jak najczęstszym obtłukiwaniu swych „dziadów" z byle powodu, a nawet — zwłaszcza późną jesienią, gdy się ważniejsze roboty pokończyły — bez powodu, ot tak z fantazji, a raczej z wyrachowania, że obity dziad zbuntuje się i ucieknie rezygnując z zapłaty. System ten doprowadzony do perfekcji działał sprawnie, rzadko zawodząc. Większość poniewieranych dziadów po mniej więcej wymaszczonej przekleństwami i kułakami pokucie, w przypływie energii uciekała po kryjomu, mniemając, że Taladze bardzo musiało zależeć na ich pozostaniu. Gdy zaś który wyjątkowo odporny czy bezwolny i zapoturany nie chciał się buntować, ani domyślić o co chodzi, a zwłaszcza, gdy miał odwagę upomnieć się i o zapłatę, brał go Talaga całkiem zwyczajnie za kołnierz i wyrzucał, dodając w razie oporu solidną porcję swej gospodarskiej monety — pięścią podobną do pały lub stopą obutą w ciężki buciar.

Mimo takiego stosunku do służby umiał Talaga znaleźć zawsze ofiarę, która ciężko pracując, za michę kiepskiego żarcia, pomnażała mniej lub więcej sprawnie majątek chciwca, sama ubożejąc do reszty w siłach i przyniesionym przyodziewku. Byli nawet tacy, którzy raz wyrzuceni lub uciekłszy kiedyś wracali jeszcze na dalszą poniewierkę. Bo czasy były ciężkie (lata kryzysu, rok 1932) i normalnie



Biedniacy



Józuś Brzana

Drzeworyty Tadeusza Kulisiewicza z teki „Szlembark" r. 1933

rozwinięty biedak z trudem znajdował pracę, a cóż dopiero mówić o sieiniakach i niedojdach, których dawna wieś produkowała zawsze pewną ilość, a którzy z braku jakiejkolwiek opieki społecznej darli życie w najstraszliwszych warunkach, przeważnie wysługując się bogaczom lub wegetując w skrajnej poturaczce u krewnych albo po prostu żebrząc.

*

Jedną z takich ofiar, która przypadkowo dostała się w szpony gospodarczego faszyzmu Talagi była młoda dziewczyna, uważana powszechnie za wariatkę, bezdomna i bezimienna nędzarka, znana w okolicy pod przezwiskiem Bejduli. Przyszła ona do doliny nie wiadomo skąd w marcowe przedwiosenne szaleństwo, gdy śnieżyca ostatnim zrywem fantazji tańczyła jakąś zwariowaną polkę. Ubrana potrefernie w stare spodnie, z których wyłaziły brudne i czerwone z zimna kolana, w łachu, który kiedyś mógł być męską marynarką, dziś zawieszony na chudych ramionach w postaci zlepku tysiąca łat, grubymi, zgrzebnymi nićmi pozszywanych do kupy, przepasana słomianym powrósłem, w słomkowym kapeluszu z olbrzymim rondem, ale bez dna, w miejsce którego sterczała strzecha zmyrchanych kudeł nie czesanego nigdy łba — przedstawiała idealnie skomponowany model stracha na wróble.

W szalejącej zawiei po omacku prawie, rycząc z głodu i zimna dostała się na osiedle Talagi, któremu właśnie parę dni temu nawalił pastuch. Gdy na piekielny jazgot psa, równie wściekłego jak jego gazda, wyjrzał Talaga oknem i dostrzegł słaniającego się pod uderzeniami wichru cudaka, od razu rozchmurzył skwaszony pysk. Drapieżny umysł starego chciwca z miejsca zwęszył korzystną okazję.

— Będzie pastuch — mruknął zacierając łapska — a zezując w stronę obrazu Matki Boskiej dodał:

— O dobrym nigdy Pon Jezusik nie zapominają.

Bejdula tymczasem, zasmarkana i umazana łzami, fucząc i ślufając, wtryndała się do izby, idąc bez słowa prosto ku blasze, pod którą wesoło trzaskał ogień. Gwałtownym ruchem wyciągnęła nad ciepłem do cna skostniałe ręce i wciąż nic nie mówiąc zaczęła głośno buczeć. Wzruszyło to oczywiście Talagę, zapytał więc słodziutkim głosikiem:

— Cóz ci to dziecusio, cóz, to cóz się tak ślimtos?

Tamta zaś głosem dziwnie niemiłym i chropatym odwaliła:

— Zimno jak jasny pieron, jeść sie kce po skurwysyńsku!

Domownicy gruchnęli w śmiech, a Talaga mocno zgorszony usiłował słowami pełnymi namaszczenia wytłumaczyć Bejduli niewłaściwość takich powiedzeń, zwłaszcza w obliczu licznych obrazów świętych, które długim rzędem zdobiły jasno wybielone ściany kuchni. Bejdula w odpowiedzi pokazała wszystkim całą długość języka i wcale nie nawrócona, ogrzawszy się trochę, podeszła ku Taladze z niskim ukłonem, mówiąc:

— Dejze co zjeść, ty stary byku.

Talagę zła krew ruszyła, oblał się purpurą wściekłości i już miał wywalić Bejdulę w zakurzony świat, ale przypomnienie o braku pastucha zmitygowało go z miejsca. Strofując więc dalej z apostolską cierpliwością nieco dziwnego gościa ukrajał osobiście nawet dosyć dużą kromkę chleba, odlał z potężnego gara miskę żuru i podał Bejduli z miną człowieka dokonywującego zdolnej przewrócić świat ofiary. A potem patrząc z nieukrywaną satysfakcją na krztuszącą się gwałtownie połykanymi kęsami dziewczynę, rozpoczął wsioskim obyczajem zwyczajną w takich wypadkach indagację.

— Jakze ci dzieciusio na imię?

Bejdula — odparła tamta mamrocząc poprzez zwały chleba tratowanego białymi zębami, z pasją głodnego wilka.

— Hm — mruknął Talaga z lekka stropiony i pytał dalej.

— A jak sie nazywos?

— Bejdula — powtórzyła znów, ale głośniej, jakby zniecierpliwiona.

— Ho, ho — zadziwił się Talaga — piykne imię, piykne nazwisko. W som roz lo takiego potweroka.

— A skądześ ty? — męczył dalej.

— A z dupy — chlapała tamta wycierając rękawem gębę po skończonej uczcie.

Dał tedy Talaga spokój śledztwu i puknął się w czoło domyślnie, dając otoczeniu do zrozumienia z kim ma przyjemność. Nie zrezygnował jednak z możliwości usługowych „wariatki", wychodząc z założenia, że „bejdok" grosza nie weźmie, a robić, co mu każe, musi.

Propozycję Talagi przyjęła Bejdula bez wahania i tak zadomowiła się w Dolinie na długi czas, przysparzając swemu gaździe dochodów, a ludziom dolińskim wielu rozmaitych uciech i wrażeń.

Sprawowała funkcje pasterki, dbając z rzadko spotykaną troskliwością o jedenastoogonowy inwentarz, z którym też zaprzyjaźniła się mocno. Sama jak szczute zwierzę, czuła się w towarzystwie zwierząt daleko lepiej niż między ludźmi, od których zresztą jak życie długie nie doznała niczego poza drwiną, pośmiewiskiem, złością i krzywdą.

— Głupie to bo głupie — mamrała do siebie z myślą o bydle — ale przynajmniej spokojne i dokuczyć niezdoli.

Mówiąc tak drapała ulubienicę swą, łysą Niedziochę, po podgardlu, ta zaś wyciągała z lubością szyję i mrużąc wyłupiaste ślepia poddawała się pieszczocie, liżąc w rewanżu Bejdulę szorstkim językiem gdzie popadło.

Talaga kochający swe bydełko w pełni doceniał pastusze walory Bejduli, to też traktować ją zaczął względnie dobrze, ignorując jej niepoczytalną złośliwość językową i gruboskórność, godzącą najczęściej w jego honor. Bejdula bowiem mimo pozornego hysia rozumiała nadto dobrze swe położenie, a zdając sobie sprawę z pogardy i poturaczki, w jakiej darła swą smutną młodość, mściła się na ludziach całą masą brutalnych i trafnie dobranych wyzwisk, którymi szafowała przy każdej okazji jak najhojniej, a które jej, jako „wariatce", uchodziły bezkarnie.

Na podorędziu miała swego gazdę, toteż jemu starała się w pierwszym rzędzie obrzydzić życie, przygadując szpetnie w oczy i poza oczy. Z początku Talaga, znany choleryk i wściekacz, pieklił się aż mu piana z pyska leciała. Myślał jednak, że z czasem, na razie łagodnością, a gdy to nie pomoże to hukiem uda mu się Bejdulę poskromić i nauczyć przykładnego szacunku dla jego gazdowskiej mości. Lub w razie niepowodzenia wykurzyć na cztery wiatry. Srodze się jednak zawiódł, stało się bowiem całkiem odwrotnie. To on właśnie, czterdziestomorgowy kmieć, pełen dumy i pychy, noszący łeb w górę jak ogier — skapitulować musiał i upokorzyć się przed Bejdulą. Przed dziadem! Pierwszy raz w życiu.

Było to pewnego ranka. Bejdula zgarniała właśnie gnój spod krów, gdy Talaga rozwścieczony po kłótni z parobkiem, klnąc na czym świat stoi wszedł do stajni. Tu od razu nie spodobały mu się powolne ruchy Bejduli, ryknął więc parskając śliną:

— Ruchej sie sakramencki dziadu prędzy, krowy powinny juz być downo na paświsku!

Bejdula swoim zwyczajem pokazała mu język, dodając jeden z okazalszych epitetów, jakimi zwykle raczyła gazdę. Wściekłość Talagi doszła do szczytu. Skoczył, bełkocząc jakieś przekleństwa i kopnął schyloną właśnie Bejdulę w pośladek. Chciał kopnąć jeszcze raz, ale zamachnąwszy się trafił w próżnię, gdyż Bejdula uskoczyła w bok, stracił więc równowagę i pośliznąwszy się rypnął jak długi na ugnojoną dyline. Ten moment wy-

Drzeworyty Tadeusza Kulisiewicza

BEJDULI

korzystała Bejdula, by leżącego przewalić widłami z całych sił. Nim się pozbierał, dostał jeszcze kilka razy. Siny z wściekłości, krztusząc się nadmiarem bulgocących słów uciekł w pole krzycząc na Bejdulę, by sobie poszła precz. Ale już, zaraz, natychmiast! Bejduli ostatecznie nie było tak źle, a raczej bywało jej dużo gorzej, nie miała też najmniejszej ochoty do zmiany miejsca. Wyszła więc, dalej spokojna, dzierżąc przed sobą widły i powiedziała:

— Jak wyścigos to i pudę, ale niek mnie ślak trafi, jak cie nie zjuchcę. Zaroz w piyrszą noc!

I aby pokazać co ma na myśli, wyjęła zapałki i podkładając je pod strzechę uczyniła jakiś nieokreślony ruch, mający oznaczać objęcie całych zabudowań siatką płomieni.

W Talagę jakby piorun trzasnał. W jednej chwili cała złość uleciała zeń czyniąc miejsce potwornemu strachowi. To była jego najsłabsza strona — lęk przed pożarem, przed utratą nagromadzonego majątku. Ze szczupłego grona uczuć dostępnych skamieniałemu sercu bogacza to jedno miało moc przyprawić go o gwałtowne drżenie, o przyspieszony stukot pulsu, o ból głowy. Ile razy nad Doliną przeciągała burza z piorunami, Talaga zwykle funiasty, buczny i zdawałoby się wszechmocny, malał, kurczył się i szarzał, truchlejąc w cichym poczuciu licznych win na myśl o gromie, którym zagniewany Bóg zniszczyłby w jednej godzinie piękny owoc wieloletnich zachodów jego pracowitego żywota. Modlił się tedy na swój sposób:

— Panie Boże, rób co chcesz, ino pierony mocno w gorzści trzymej. A jak już koniecnie chces sie uciesyć, to łotnij se hej w Tlołcyną budę. Stare to, malutkie i na ubocu — w som roz na spolenie.

Tak modlił się stary skąp, popatrując roztrzęsiony w okno za każdą błyskawicą, czy aby nie już. Miał też spory zapas gromnic, które w takich wypadkach świecił we wszystkich oknach. Miały tu one wyraźnie określoną funkcję — odganiać świetliste zło od pięknych i obszernych zabudowań.

Nic tedy dziwnego, że takie ultimatum Bejduli walnęło go z siłą gromu. Zadygotał cały wewnętrznie, uciekł do izdebki i trawiony zgryzotą chorował do wieczora.

Od tego dnia dostała Bejdula lepsze jedzenie, ubrano ją wcale przyzwoicie i co najważniejsze — Talaga odczepił się od niej na dobre.

Zdając sobie sprawę z przewagi, jaką nadspodziewanie uzyskała nad starym diabłem, mściła się nad nim Bejdula jeszcze bardziej, dogryzając mu przy każdej okazji w sposób coraz bardziej wyrafinowany i okrutny. Ułożyła sobie nawet kilka piosenek, które wyśpiewywała całymi dniami pasąc lub żenąc krowy do stajni w miejscu najgęściejszego zaludnienia Doliny.

— Talaga, Talaga — huczała nieznużona —
rozbier sie do naga.
sprzedej zydom gacie —
to sie dobogacis.

Albo:

A ten nas Talaga
to kawoł kutosa,
chodzi zalaptany
do samego pasa.

Tak mściła się biedna dziewczyna, pragnąc drwiną zasypać głębię doznanych krzywd, mając język i bezczelną dokuczliwość za jedyną broń w jakże nierównej walce. Nierówność tę najlepiej zresztą charakteryzował sam Talaga, który, gdy śpiewy takie słyszał, uśmiechał się z kwaśną miną i mówił:

— Huc se a huc, bylebyś krów dobrze pilnowała.

*

Minął rok. Przyszła wiosna i Bejdula znów wygnała krowy na obszerne błonia bogacza. Pasła i śpiewała, ciesząc się swą mizerną zemstą, nowe o nim śpiewki. Były jeszcze bardziej nieprzyzwoite niż w roku ubiegłym. Ale niezmienną była dbałość Bejduli, toteż Talaga cieszył się z taniej a dobrej pracownicy. Zaś doliniacy cieszyli się znów, że ktoś wreszcie tej dokuczliwej i nieużytej bestii potrafi bebechy przewracać. Cieszyli się każdy po swojemu i było im jakby dobrze.

Gdzieś w końcu czerwca zdarzył się w Dolinie wypadek, który do wieńca sławy Bejduli, jako pogromczyni srogiego Talagi, dorzucił jeszcze jeden liść wcale pokaźnych rozmiarów. Te niedzieli miejscowy Związek Rezerwistów święcił sztandar W uroczystości wzięło udział szereg wybitnych osobistości z powiatowej stolicy, ze starostą, co się całkiem zwyczajnie Płachtą nazywał, na czele. Po kościelnej ceremonii uformował się długi pochód z zamiarem dojścia do szkoły, gdzie miała się odbyć dalsza część uroczystości. Czoło pochodu stanowili chorąży ze sztandarem, starosta, komendant policji, kierownik szkoły i wójt. Za nimi układała się reszta, stopniowana kolejno godnościami, których jednak nie było zbyt dużo, i pochód wnet złożył się z całkiem bezgodnościowej masy pospolitego chłopstwa.

Pochód znalazł się prawie na połowie drogi między kościołem a szkołą, orkiestra Straży Pożarnej grała właśnie ognistego marsza, gdy z przydrożnych krzaków wyskoczyła elegancko wystrojona w swój słomkowy kapciuch Bejdula. Chwilę postała oglądając zbliżających się dostojników, a gdy tamci znaleźli się o jakieś 50 kroków, raptem odwróciła się, wypięła ku nadchodzącym zadek i podniosła spódnicę. Nadspodziewanie czyste pośladki błysnęły na podobieństwo księżyca, który wydrze się na chwilę z więzi chmurzastych łachmanów.



Siostry

Idący dostojnicy przez moment oniemieli, spojrzeli po sobie i nie wiedząc co to znaczy stanęli. Za nimi stanął cały pochód. Muzyka ukryta w głębi tłumu, o niczym nie wiedząc grała dalej, a Bejdula rytmicznie, w takt zadzierżystej melodii poruszała wyzgulonym zadkiem, bacznie z między nóg obserwując co będzie dalej.

Niezbyt miłą sytuację uratował znany z wysokiego poczucia humoru starosta wybuchając niepohamowanym śmiechem. Za nim pośpieszyli się uśmiechnąć wierni podwładni. Pochód rozsypał się momentalnie i nad całym tłumem wzbił się tuman hahania. Jedynie surowy komendant policji i suchotniczy kierownik szkoły, prezes Związku Rezerwistów uważali za stosowne urzędowo się oburzyć i polecili obecnym policjantom aresztować „prowokatorkę" natychmiast.

Ta jednak nie miała zamiaru czekać i skoro dwóch policjantów ruszyło dusząc się śmiechem ku niej, spuściła kurtynę i dała nura w zagajnik.

Wypadek ten stał się na wiele tygodni dla Doliny i okolicy całej ulubionym tematem rozmów, domysłów i żartów. Na ogół twierdzono, że to zwykły wyczyn obłąkanej, byli jednak i tacy, którzy dopatrywali się w tej hecy głębszego sensu, politycznego wydźwięku. W kołach stronników Ozonu wyraźnie posądzono miejscowego prezesa ludowców, znanego radykała Kaciałę, o wyreżyserowanie tej obelgi. Miał nawet Kaciała z tej racji policyjne dochodzenia, które jednak z braku dowodów skończyły się na solidnym obtłuczeniu gumowymi pałicami tej samej części ciała, przy pomocy której Bejdula obraziła państwowotwórcze uczucia pochodowiczów.

*

Przeszło kilka lat, w tym już trzy krwawego gwałtu wojenno-okupacyjnej krzywdy.

Pewnego ranka zahuczały na drodze od miasta motory. Szły dwa auta pełne „siwków" — jak tu zwano żandarmów i gestapowców. Na pierwszym, wtłoczony między szofera, a grubego byka z rewolwerem w ręku, siedział aresztowany onegdaj Kulig. Nawet nie wiedziano, że był aresztowany. Wyjechał parę dni temu w „pewnych sprawach", a teraz oto siedział w aucie straszliwie zmieniony i postarzały z twarzą prawie czarną od sińców Kiwając się, napół przytomny, usiłował od czasu do czasu otworzyć zapuchłe oczy, by wskazać kierunek drogi.

Jechali przez wieś nie zatrzymując się, prosto na Przylasek, ku chacie starej Tlołki. Nim dojechali, z chaty wyskoczyło trzech mężczyzn, którzy choć posypały się za nimi strzały, zdołali dopaść lasu i zniknąć. Za nimi biec zaczęły Tlołka, jej córka i synowa z dzieckiem na ręku. Zabiegli im jednak drogę żandarmi i bijąc nahajami popędzili nazad do chaty. Po dłuższej chwili żandarmi wynieśli z domu kilka sztuk broni i skrzynię z granatami. Z chaty dobiegał trzask tłuczonych sprzętów zmieszany z wysokim lamentem kobiet i grubym porykiwaniem Kuliga. Żandarmi z drugiego wozu zganiali ludność wioski ku Tlołczynej budzie. Po skończonej rewizji chata została zamknięta, a w niej rodzina Tlołki wraz z przywiezionym Kuligiem.

Wówczas to z ust dowódcy padło jakieś szczeknięcie i cała zgraja „siwków" rozbiegła się wokoło, tworząc gęsty pierścień, naszpikowany automatami skierowanymi w stronę chaty. Dowódca, młody oficer, o urzekająco miłej twarzy i eleganckiej powierzchowności, łamaną polszczyzną zagadał do zebranych doliniaków, że oto za chwilę sprawiedliwości stanie się zadość i dom, w którym mieli kwaterę „bandyci", zostanie wraz z jego mieszkańcami spalony. Fakt ten winien być dostateczną przestrogą dla reszty ludności, aby nie ważyła się popełniać przestępstw, godzących w interesy szlachetnego narodu niemieckiego.

Nowe szczeknięcie i czterech drabów z blaszankami wypełnionymi benzyną podeszło ku chacie, oblało strzechę z czterech od razu stron i podpaliło. Ku niebu pokraśniałemu od łun wschodzącego słońca wyrósł w sekundzie potężny krzak płomienia, pokryty kędzierzawą czupryną dymu.

Tłum zafalował jakby w zamiarze rzucenia się na ratunek. Ale groźna postawa żandarmów, którzy w tejże chwili zwrócili w tamtą stronę broń, osadziła go w miejscu. Znieruchomiał. Tylko szloch zerwał się ogromny, akompaniując beznadziejnie jękowi tamtych.

W pewnej chwili okno chaty otwarło się z trzaskiem lecących szyb, i ręce młodej matki wyrzuciły zawinięte w poduszkę dziecko. Chciała za nim wyskoczyć sama, już przechyliła się przez otwór, gdy sucho zagdakał automat i tamta sflaczała nagle zawisła jak pusty worek na ramie okiennej.

Szloch tłumu rozrósł się nagle i spotężniał jak pożar. Jakaś kobieta krzyczała histerycznie:

— Zabili ją, zabili!...

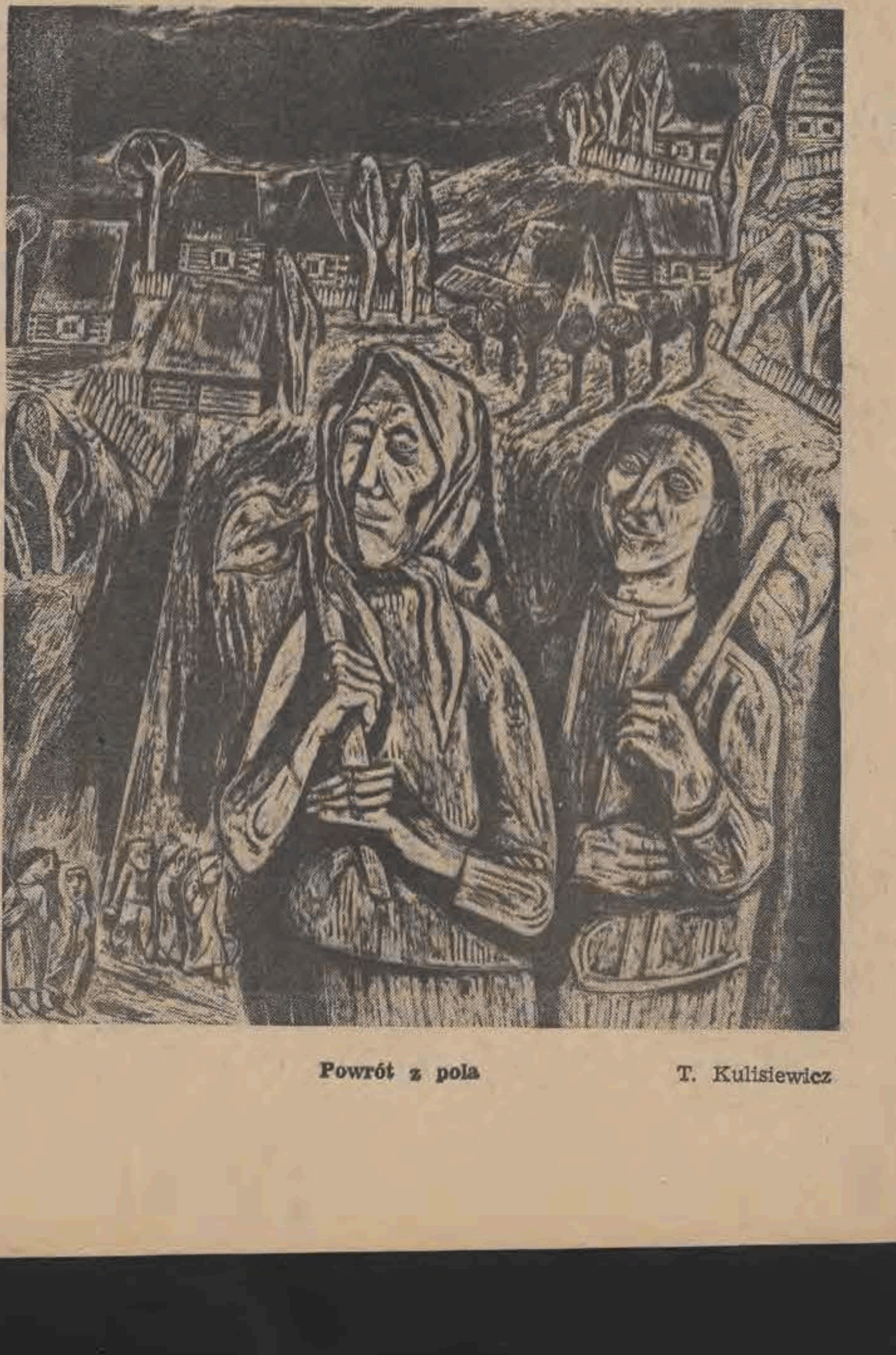
W tym momencie z porażonej boleśną martwotą masy ludzkiej ktoś się zaczął wydzierać gwałtownie, roztrącając zastygłą w trwodze ciżbę. Z gęstwiny, szumiącej szlochem jak las burzą, wydarła się Bejdula. Z ogromnym krzykiem: ratujcie dziecko! — przerwała zbrojny kordon, skoczyła ku piszczącemu zawiniątku, porwała go i biegła z powrotem. Żandarmi wzięli ją na cel, ale jeszcze czekali... W tej chwili zapadł się z trzaskiem dach i nie wykryte gdzieś w słomie granaty czy miny zaczęły eksplodować. Lawina odłamków z przejmującym gwizdem posypała się w krąg. Któryś z Niemców trafiony zwalił się z jękiem: Herr Jesu... Reszta upadła, czołgając się w tył i kryjąc w zagłębieniach gruntu. Ludzie w szalonym popłochu rzucili się do ucieczki, przewracając się i przewalając jedni przez drugich.

Bejdula dobiegła prawie do linii leżących żandarmów, i już miała, już mogła ją bezkarnie przekroczyć, gdy praśnięta w głowę odłamkiem, nie krzyknąwszy nawet kicnęła, niby trafiony zając, prysła bladożółtą masą mózgu w stłamszoną zieleń trawy. Padła akurat przed oficerem, obryzgując go szczątkami mózgu i krwią. Eksplozje właśnie ustały. Oficer zerwał się, zielony z wściekłości i klnąc zaczął kopać drgające jeszcze zwłoki. Kopał z furią, aż trup przesunął się nieco odkrywając poduszkę z płaczącą rozpaczliwie dziecina. Złapał wtedy rozkrzyczany tobołek, podszedł ku gorzelisku i z zamachem rzucił go w sam środek płomieni.

W tej właśnie chwili zapadła się powała. Ponad sykliwy trzask wydarł się jeszcze jeden potężny i ostatni krzyk przysypanych ogniem ludzi.

Oficer wytarł pięknie utrzymane ręce ruchem Piłata, oczyścił się chusteczką, przyczesał sfalowane kędziory i zapaliwszy cygaro dał rozkaz odjazdu.

Józef Bieniek



Powrót z pola T. Kulisiewicz

Paulina Czyżowa

Dwa filmy o emancypacji kobiet

Już w epoce uwłaszczania, za czasów Orzeszkowej, a potem coraz bardziej w miarę pogłębiania się upadku dworów i folwarków w Polsce podnosiło się znaczenie kobiety pracującej. Panny ze dworu, gdy znalazły się na bruku miejskim, szukały pracy jako nauczycielki, guwernantki lub po prostu płatne dames de compagnie, te zaś, które pozostały na wsi, musiały ulec nowemu wzorowi kobiety, jaki nieśli ze sobą parweniusze, wkupujący się w ziemię i w sferę ziemską. Ten nowy wzór to dobra gospodyni, kobieta z głową do kalkulacji, umiejąca w męskim stroju nie tylko przy boku kochanka paradować na koniu, ale doglądać robotników w polu.

W małych kresowych folwarkach szczególnie wiele musiało być przykładów kobięcej zaradności i uporu, dzięki którym warstwa szlachecka trzymała się tam przy ziemi rękami i nogami i utrzymywała folwarki w swoim posiadaniu, jak długo było można. Kronikarzem tego kobiecego uporu i zaradności była np. Rodziewiczówna.

I oto ubawi nas nieco i zdziwi w angielskim filmie „Miłość Joanny Godden“ odnalezienie (w latach po r. 1900) angielskiego wydania ideału Rodziewiczówny, kobiety-gospodarza. Tylko jakie to angielskie wydanie! Jak zewnętrznie w stylu niepodobne do naszych kresowych panien, otoczonych fraucymerem brudnych ruskich dziewek i parobków. Ale w zasadzie czyż to nie sytuacja wielu bohaterek Rodziewiczówny, ta w której znalazła się Joanna Godden?

Było to tak. Umarł ojciec, właściciel hodowlanej farmy nad morzem, pozostawiając starszej córce cały majątek wraz z zaleceniem poślubienia sąsiada — syna swego przyjaciela. Joanna nie przyjmuje od razu propozycji małżeńskich Artura, postanawia zupełnie sama prowadzić gospodarstwo. „— Oszalałeś — odpowiada Artur. — Biorę ją (farmę) na dobrą lub złą dolę“.

Samodzielne gospodarowanie kobiety jest czymś tak niezwykłym, że sąsiedzi gorszą się, służba nie zamierza słuchać pani.

Ale mało tego, że kobieta łamie głowę nad rachunkami gospodarskimi, postanawia zaprowadzić **postępowe** formy gospodarki, zastosować takie krzyżowanie owiec, do jakiego hodowcy nie byli przekonani, zaorywać pastwiska pod paszę, czego dotychczas nie stosowano. W klubie farmerów pierwsza kobieta wnosi czynnik postępu gospodarczego. Co prawda, pożal się Boże, w dalszej akcji filmu wątek ten nie zostaje w ogóle podtrzymany, ponieważ chodzi już raczej o perypetie miłosne bohaterki. Ale i to nie jest bez znaczenia dla obchodzącej nas sprawy. Joanna Godden, wyposażona we wszystkie cnoty: gospodarna, dobra, hojna, pobożna, skromna (np. przy całej swojej postępowości gorszy się siostrą, która nie nosi gorsetu) i surowa — jest w sprawach miłosnych głupią i kapryśną kobietą.

Oczywiście, małżeństwo jest dla niej rezygnacją z ambitnych planów gospodarczych. System folwarcznej gospodarki pozostawia jej przy boku męża rolę pomocnicy, najniżej — rolę rozumiejącej i dobrej żony, ale małżeństwo jest dla niej jako dla gospodarza—kapitulacją. Władzę nad gospodarstwem i nad rodziną obejmuje mąż.

Ideał kobiety dla sfery ziemiańsko-folwarcznej, znajdującej się w epoce upadku to kapryśne pomieszanie tradycji i „postępowości“, poprzez którą klasa ginąca czepia się przyszłości. Analogia między filmem o Joannie Godden a Rodziewiczówna jest na pozór fantastyczna, ale nie bezzasadna. Te same obyczajowe wątki: gorset, skromność, hojność na cele religijne i sentyment dla starego zegara, który ktoś komuś podarował w rodzinie. A przy tym owo: „Jestem zwolenniczką postępu, np. krzyżowania owiec“...

Film „Miłość Joanny Godden“ — doskonały technicznie, a godny politowania od strony ideologicznej, film przecukrzony i przepachniony sentymentalizmem schyłku, pokazuje, jakim zaułkiem życia społeczno-gospodarczego Anglii było rolnictwo i klasa posiadaczy wiejskich w owej epoce. Rok 1905, w którym odbywa się akcja filmu, to okres wzmożonego wzrostu uprzemysłowienia Anglii i upadku do reszty wsi, która nie wytrzymała konkurencji z produkcją rolną Ameryki. Farmerzy pokazani w filmie to zacofani tradycjonaliści, którzy postawę Joanny Godden traktują jako zwykłe dziwactwo.

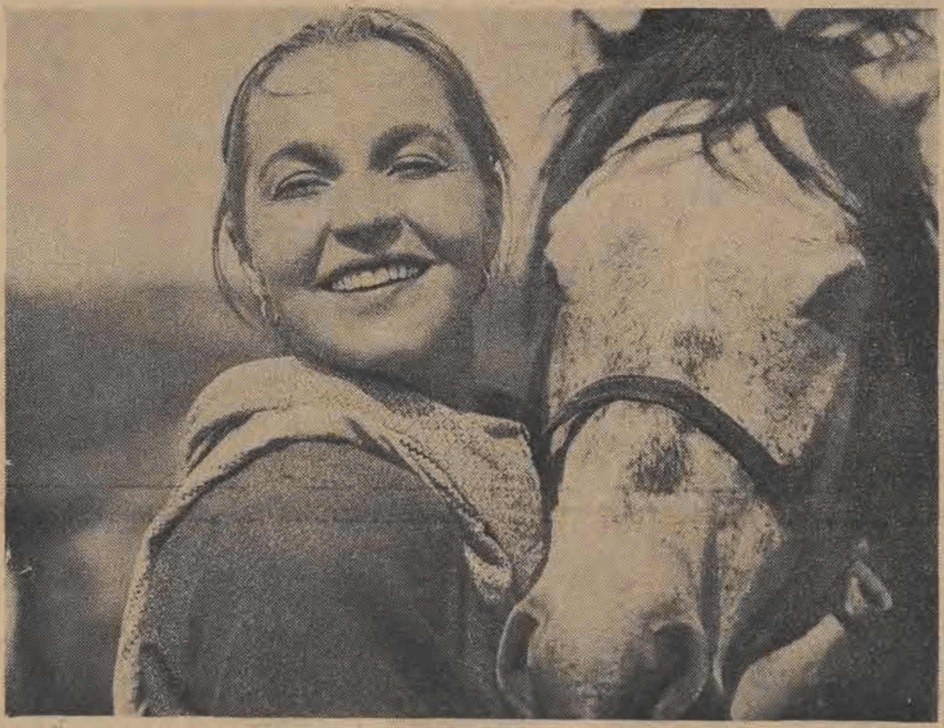
W ogóle sama sprawa emancypacji kobiet w ustroju kapitalistycznym rozgrywająca się w sferze obyczaju i prawa była wnoszeniem jeszcze jednej poprawki do kapitalizmu, nie mogła być rozstrzygnięta w kapitalistycznym systemie rodziny.

Dalsze dzieje rzeczywistej emancypacji kobiety toczyć się będą już na innym gruncie. Ilustracją do nich mógłby być przedwojenny film radziecki „Ziemia woła' („Członek prawitielstwa“). Film ten może być również znakomitym przykładem realizmu z ducha Gorkiego i Szołochowa, do którego powieści „Zorany ugór“, gdzieniegdzie nawiązuje.

Rok 1930. Okres organizacji kołchozów, zaostrzonej walki klasowej na wsi radzieckiej między kułakami i biedotą wiejską. Najaktualniejszą sprawą społeczną wsi staje się wówczas sprawa średniaków, tej wahającej się grupy wsi, która stanowi większość i którą trzeba zdobyć dla kołchozu. Właśnie od konfliktu w sprawie średniaków między przedstawicielem władzy a wiejską kobietą rozpoczyna się film. Ta właśnie kobieta wiejska w rozmowie z sekretarzem rejkomu okazuje się mimo babskiej naiwności w pełni uświadomionym członkiem kołchozu, zostaje przez zebranie kobiet wysunięta na przewodniczącą kołchozu i zostaje nią pomimo sprzeciwu męża. I tu rozpoczyna się istotny dramat rodzinny, który jest ściśle powiązany z akcją społeczną, z rozwojem kołchozu i organizowaniem nowego porządku na wsi. Ten dramat rodzinny, a raczej przełom w życiu rodziny jest po prostu przez ten nowy porządek wyznaczony.



Z filmu radzieckiego „Ziemia woła“



Z filmu radzieckiego „Ziemia woła“



Bohaterka filmu produkcji angielskiej „Miłość Joanny Godden“

Funkcje przewodniczącej kołchozu rozbijają rodzinę Sokołowych. To samo dzieje się z innymi rodzinami w filmie wówczas, gdy zarysowuje się różnica poglądów i stosunku do kolektywu. O zgodzie i spójni rodziny nie decydują już interesy wewntęrzno-rodzinne, ale po prostu „nasz“, czy „ nie nasz“ człowiek. Cóż się stało? Dramat miłosny i dramat rodzinny ukazany w filmie „Ziemia woła“ jest najzupełniej równoległy do akcji szerszej, do przemian społecznych tak zasadniczych dla wsi, przeniesionej w swej dawnej strukturze w nowy ustrój socjalistyczny. Dotychczas rodzina na indywidualnym gospodarstwie była nie tylko całością obyczajową, była przede wszystkim **jednostką gospodarczą.** Gospodarka zbiorowa, kołchoz, pozbawiła rodzinę cech gospodarczej odrębności i w tych warunkach role członków rodziny uległy radykalnej zmianie.

„— Kto tu jest gospodarzem? Ja, czy ty?“ — pyta Sokołow swą zbuntowaną przeciwko jego władzy żonę. I na to pytanie odpowiada sobie sam negatywnie, odchodząc z domu, zostawiając dzieci i żonę, której nie może dorównać. W nowym ustroju wsi kobieta uzyskuje znaczenie i — może początkowo tylko — przewagę, ponieważ gospodarz przestaje znaczyć jako głowa rodziny a kobieta bardziej bezpośrednio zainteresowana jest w wyżywieniu dzieci. Znaczenie gospodarza ustępuje miejsca znaczeniu jego jako członka kolektywu i mierzy się jego funkcją **w życiu zbiorowości, jego osobistym**, a nie rodzinnym (przy pomocy innych członków rodziny) **wkładem pracy.**

Toteż po swoim powrocie Sokołow zrozumiał, że nie w domu i rodzinie powinien współzawodniczyć z żoną w zdobyciu znaczenia społecznego ale na terenie gospodarki kołchozowej. Zostaje kierownikiem działu, fachowcem, wzywają go do rejkomu na narady. Tymczasem Aleksandra zdobywa jeszcze wyższy awans — zostaje posłanką, członkiem Najwyższej Rady. Awans społeczny Aleksandry spod mężowskich pięści, garów bogaczy wiejskich i całowania ich rąk dokonał się dzięki zmianie ustroju, ale dokonał się poprzez jej moralną i upartą walkę z oporem kołchoźników, którzy nie chcieli pracować, ze złośliwością i zawiścią odsuwanych w cień starych agronomów i politykierów, ale przede wszystkim z własnym nieuctwem, z własną słabością i osamotnieniem.

Także młodzi w kołchozie uzyskują nową pozycję. Jak pokazuje prof. Chałasiński („Społeczeństwo i wychowanie“), młodzi i nierodzinni ludzie w kołchoze uzyskują znaczenie w nowych funkcjach, np. technicznych: kawalerowie i panny — traktorzyści. Ten problem to właśnie problem tworzenia się na wsi miejsc funkcyjnych dla nowych zawodów, problem wiejskiej inteligencji. Kolektywna organizacja wsi wysuwa samorzutnie zapotrzebowanie na własnych techników, agronomów, lekarzy, pielęgniarki itd. Wówczas kołchoz zainteresowany jest bezpośrednio w zawodowym kształceniu młodych. Ten proces tworzenia się nowej inteligencji wiejskiej ukazuje film od podstaw w jego stawaniu się.

Realistyczny anty-estetyzm filmu o Aleksandrze Sokołowej potwierdza jego surową prawdę.

Wkrótce ujrzymy na ekranach oba filmy (angielski i radziecki) o emancypacji kobiety ziemiaństwa i burżuazji i o emancypacji kobiety z ludu. W kapitalizmie i w socjalizmie!

ADMINISTRACJA
PRZYPOMINA O WPŁACIE
ZALEGŁEJ PRENUMERATY
ZA ROK 1948

Czesław Wycech

Przemiany szkoły podstawowej

(artykuł dyskusyjny)

Przypomnijmy dwa fakty. W 1937/38 mieliśmy w klasie pierwszej 875 tysięcy uczniów, a szkołę powszechną kończyło 262 tysiące, co znaczy, że tylko 30 proc. uczniów wchodzących do szkoły kończyło najwyższą klasę. 70 proc. uczniów opuszczało szkołę bez jej ukończenia. Mieliśmy nadto olbrzymi odsetek uczniów powtarzających dwa lub trzy razy te same klasy w ciągu nauki szkolnej; było to olbrzymie marnotrawstwo społeczne. Chłopi w swych pamiętnikach skarżyli się na złą szkołę. Niska wartość szkoły wynikała nie z winy nauczyciela, chociaż i o jego pracy można by dużo powiedzieć, lecz z jej wad ustrojowych. Kryzys szkoły powszechnej był organiczny, strukturalny, tak jak strukturalnym jest kryzys kapitalizmu. Dlatego stoi dziś przed nami zagadnienie podniesienia wartości szkoły, co wiąże się ze sprawą kształcenia nauczycieli, reformy programów i podręczników, unowocześnienia techniki nauczania, lecz przede wszystkim wymaga **zmiany organizacji szkoły, przebudowy jej struktury.**

Organizacja szkoły podstwowej jest przestarzała. Olbrzymi odsetek naszych szkół niżej zorganizowanych obciążają tradycje szkółki parafialnej, jakby jeszcze z okresu **pańszczyźnianego, organizowanej przez „dobrych panów" dla ludu.**

Wieś odziedziczyła w zarodku przewagę szkół niżej zorganizowanych, w których uczeń kończy naukę najczęściej w klasie czwartej, w dodatku o skróconym programie. Ale bo też stosunkowo łatwo zorganizować pełne szkoły o dużej ilości nauczycieli w miastach czy większych wsiach — znacznie trudniej w małych wioskach. Trudno dlatego już dziś wymagać od państwa, ażeby w każdej małej wsi o 30 czy 50 dzieciach mogło organizować szkoły z siedmioma nauczycielami. Na tak wysoki wydatek nie mogą zdobyć się nawet bogate i niezniszczone kraje, te zresztą z przyczyn ustrojowych. Jakie zasady należy przyjąć, by wprowadzić nowoczesną organizację szkolnictwa powszechnego zarówno na wsi jak i w mieście?

Pierwsza zasada — to zmniejszenie obciążenia nauczyciela dziećmi. Normy winny być podyktowane wynikami badań z zakresu biologii, psychologii dziecka oraz jego socjologicznych warunków życia. Obciążenie to nie może przekraczać 40 uczniów na nauczyciela. W ustawie o zakładaniu i utrzymywaniu szkół z dnia 7 lutego 1922 roku normy dla małych obwodów wiejskich były wyższe, a dla dużych obwodów niższe. A powinno być odwrotnie — należy obniżyć liczbę dzieci na nauczyciela w obwodach mniejszych, gdyż tylko na tej drodze będzie można olbrzymią ilość szkół przekształcić na szkoły wyżej zorganizowane, o pełnym programie szkoły siedmioklasowej. Wyjaśnię to na przykładzie. W roku 1946/47 mieliśmy 677 szkół o jednym nauczycielu z liczbą uczniów od 101 do 150 w każdej z nich. Otóż przyjmując normę 25 uczniów na nauczyciela wszystkie te szkoły można przekształcić od razu na szkoły o 4 lub 6 nauczycielach. Jaką należy przyjąć zasadę? W obwodach szkolnych do 50 dzieci winna być szkoła o 1 nauczycielu, w obwodach od 51 do 70 dzieci szkoła o 2 nauczycielach i w obwodach od 71 do 100 dzieci szkoły o trzech nauczycielach, na każde zaś nowych 40 dzieci ponad normę winien podnosić się w obwodzie szkolnym stopień organizacyjny szkół.

Druga zasada — to utworzenie dwu promieni obwodów szkolnych. Uczniowie klas od I do IV włącznie winni być obowiązani do odbywania drogi najwyżej do trzech kilometrów, natomiast uczniowie od klasy piątej mogą być przez władze szkolne zobowiązani do chodzenia do 4 km; na dalszą odległość musieliby być dowożeni przez gromady.

Trzecia zasada — to stworzenie dwu form organizacyjnych szkół: szkoły pełnej i szkoły niepełnej. Obie formy mają **jednakowy program** nauczania, czym się różnią od przedwojennego podziału szkół na stopnie. Szkoła niepełna realizuje tylko część programu szkoły powszechnej, gdy w ustroju trzystopniowym z okresu sanacji nawet szkoła o jednym nauczycielu uczyła ucznia siedem lat i miała wykonać skrócony program siedmiu klas szkoły powszechnej, czego oczywiście nigdy nie osiągnęła, bo nawet najgenialniejszy nauczyciel nie mógł sam, w dodatku z dużą ilością dzieci, wykonać pełnego programu szkoły siedmioklasowej. W proponowanej po wojnie organizacji szkoły powszechnej — szkoły o 1 i 2 nauczycielach są niepełnymi, a więc wykonują tylko 4 lub 6 klas szkoły powszechnej, a po ich ukończeniu uczniowie **będą obowiązani uczęszczać do szkoły pełnej,** mającej więcej nauczycieli i realizującej pełny program szkolny — siedem klas. Do tych szkół wyżej zorganizowanych będą uczęszczać uczniowie ze szkół niepełnych, dlatego nazwano je **zbiorczymi.** Przy małym obciążeniu szkoła o jednym nauczycielu może wykonać program czterech klas, a szkoła o dwu nauczycielach program sześciu klas.

Przyjmując powyższe zasady obciążenia według szacunkowych obliczeń, opartych na danych zagęszczenia klas z 1946/47 roku, liczba szkół o jednym nauczycielu spadłaby z 8460 na około 3000, czyli spadłaby z 39 na 15 proc. Liczba uczniów przy maksymalnym nawet obciążeniu spadłaby z 480 tysięcy na 80—90 tysięcy, czyli w szkole o jednym nauczycielu uczyłoby się do 2,5 proc. ogółu uczniów (dziś uczy się 13,6 proc.). Dalej około 65 tysięcy uczniów z roczników V, VI i VII uczęszczałoby do klas piątych, szóstych i siódmych do szkół zbiorczych w sąsiednich obwodach.

Liczba szkół o dwu nauczycielach spadłaby z prawie 5000 do liczby około 2500. W szkołach tych uczyłoby się najwyżej 150 tysięcy uczniów (dziś uczy się 490 tys.), czyli około 4 proc. (obecnie 14,5 proc.) i około 20 — 25 tysięcy uczniów z rocznika siódmego musiałoby uczęszczać do klasy siódmej w sąsiednich obwodach.



„Dal“

Przez przyjęcie powyższych zasad organizacyjnych zmienia się całkowicie oblicze szkoły powszechnej. **Odsetek dzieci w szkołach niepełnych o 1 i 2 nauczycielach spada z prawie 30 proc. na 6—7 proc.,** natomiast **około 80 proc. ogółu dzieci uczęszczałoby do szkół najwyżej zorganizowanych — a więc o 4 i więcej nauczycielach.**

Norma obciążenia w obwodach o małej gęstości zaludnienia, a więc mających szkoły **niepełne**, wahać się będzie od 25—30 uczniów na nauczyciela, natomiast w obwodach gęściej zaludnionych, a więc mających szkoły **pełne**, wahać się będzie od 35 do 40 uczniów.

Jakie wyniki dają nam przyjęte zasady? Po pierwsze zmniejszamy do minimum koniecznego ilość szkół niepełnych; przeszło 80 proc. dzieci uczęszczać będzie do szkół pełnych, posiadających siódmą klasę. Po drugie: zmniejszamy obciążenie nauczyciela uczniami, a zatem podnosimy wartość nauki szkolnej. Wówczas to nie **30 proc.** lecz przeszło **90 proc. uczniów klasy pierwszej skończy klasę siódmą;** zmaleje bardzo wydatnie ilość uczniów powtarzających klasy. Klęska drugoroczności przestanie prześladować naszą szkołę. Szkoły **niżej zorganizowane były stałym źródłem dostarczającym analfabetów powrotnych — w tej organizacji źródło to zniknie, bo każdy uczeń będzie miał możność ukończenia klasy siódmej szkoły powszechnej.**

Nauka ucznia i praca nauczyciela w szkołach mało zagęszczonych będą wydajniejsze. Utrzymywanie dużej ilości szkół nisko zorganizowanych i przeludnionych — to fikcja powszechności nauczania. **Tego rodzaju fikcję likwiduje Polska Ludowa.**

Opisana wyżej reorganizacja szkół wymagać będzie bardzo wydatnego zwiększenia liczby nauczycieli. Celem poprawienia struktury organizacyjnej szkoły powszechnej oraz objęcia wszystkich dzieci obowiązkiem szkolnym potrzeba by około 95 tysięcy nauczycieli (liczba globalna i szacunkowa). W budżecie na rok 1949 przewidziano 81,5 tysięcy etatów nauczycielskich, a zatem brakować będzie około 13,5 tysięcy nauczycieli. W najbliższych latach spadnie liczebność roczników „wojennych" dzieci w wieku szkolnym, a w związku z tym może ulec zniżce liczba nauczycieli. Jednak za parę lat wejdziemy w okres wzmożonego przyrostu dzieci i wobec tego liczba nauczycieli będzie się musiała znów podnosić.

Czy możemy sobie pozwolić na tak duże kadry nauczycielskie?

Polska posiadała w latach międzywojennych najwyższe obciążenie nauczyciela uczniami, które w 1937 r. wynosiło 61,7. Jedynie Grecja posiadała obciążenie wyższe (63,9), kraje nadbałtyckie, bynajmniej nie bogatsze od nas, jak Finlandia, obciążenie — 31,0. Rządy sanacyjne i przedmajowe nie prowadziły polityki oświatowej zgodnej z interesami ludu, nie troszczyły się o rozwój dobrej szkoły powszechnej. Dlatego też ustalały wysokie normy obciążenia nauczyciela, zaniedbały całkowicie sprawę wewnętrznego urządzenia szkół; również leniwie posuwała się naprzód sprawa budownictwa szkolnego. Dziś trzeba stanowczo i szybko zerwać z linią i obciążeniami przeszłości. Na rok 1949 przewidziano przekształcenie 1700 szkół o jednym nauczycielu na szkoły wyżej zorganizowane. Jesteśmy przekonani, że tempo to wzrośnie w latach następnych, że **w ciągu planu sześcioletniego całkowicie zreformujemy szkołę powszechną.**

Z zagadnieniem reformy szkoły podstawowej łączy się wiele spraw, jednak najważniejszą z nich jest sprawa nauczyciela. Problem nauczycielski ma wiele stron. W dziedzinie materialnej zrobiliśmy wielki krok naprzód. Ostatnia podwyżka uposażeń bardzo wydatnie polepsza byt nauczycielski. Do rozwiązania w najbliższej przyszłości stanie sprawa opłat za godziny nadliczbowe, co posiada duże znaczenie dla nauczycieli wiejskich. Druga strona sprawy nauczycielskiej— to zagadnienie **kwalifikacji.** Świat nauczycielski od czterdziestu lat stawia postulat **wyższego kształcenia nauczycieli.** Oczywiście postulat kształcenia wszystkich nauczycieli na najbliższe lata jest nierealny. W najbliższych dziesięciu latach główną drogą kształcenia nauczycieli będzie kształcenie na poziomie średnim. Do wykształcenia nauczyciela szkoły powszechnej do 1935 roku potrzeba było 12 lat (7 lat szkoła powszechna i 5 lat seminarium). Obecnie kształcenie to trwa tylko 11 lat (7 lat szkoła powszechna i 4 liceum pedagogiczne — łącznie ze swą skróconą podbudową). Skrócenie po wojnie czasu kształcenia nauczycieli było uzasadnione potrzebą szybkiego uzupełnienia braków w kadrze nauczycielskiej. Rozbudowaliśmy już sieć zakładów kształcenia nauczycieli — obecnie liczba liceów pedagogicznych zaspokaja potrzeby corocznego przyrostu etatów w ramach planu sześcioletniego. Braki w kadrze zostały uzupełnione nauczycielami niekwalifikowanymi, którzy na drodze **dokształcania** podciągają się do poziomu wymaganego.

Państwo podejmuje również na szeroką skalę stałe dokształcanie czynnych nauczycieli szkół powszechnych. Tu w szczególności należy popierać dokształcanie na poziomie wyższym. (Dotychczasowe formy wymagałyby pewnej rewizji).

Przedwojenną szkołę powszechną nazwał Chałasiński szkołą „pańską“. Na „pańskość“ szkoły składało się wiele elementów. Przede wszystkim program, który nie uwzględniał dorobku chłopa i jego wyzwoleńczych dążeń (np. nauka historii Polski była nauką o królach i szlachcie), dalej rozbicie procesu dochodzenia do kultury na krąg pański (inteligentów mieszczańskich) i ludowy i wreszcie sama postawa nauczyciela wobec chłopów i wsi. W zawodzie nauczycielskim mieliśmy również jednostki „wysferzone“, które aczkolwiek wyszły ze wsi, to jednak zrywały z nią więzy społeczne. Pod względem politycznym mieliśmy nauczycieli ludowców, liberałów, socjalistów, endeków, klerykałów, wielu nauczycieli podlegało wpływom dworu i plebanii, ostatnio sanacji.

Obiektywnie trzeba jednak stwierdzić, że nauczycielstwo spośród naszych grup inteligenckich było najbardziej postępowym (w swej masie) środowiskiem. Na jego to podbudowie wyrosło pisarstwo W. Wasilewskiej i Wł. Kowalskiego. Polityczność tych pisarzy poprzez ten krąg inteligencji polskiej (nauczycielskiej) okazała się naprawdę rewolucyjna, naprawdę „przyszłościowa“ Dziś, gdy weszliśmy na drogę budowania nowego ustroju społecznego, pełnej sprawiedliwości społecznej bez krzywdy i wyzysku trzeba nowych ludzi, i zmiana postawy całego nauczycielstwa w tym duchu jest warunkiem koniecznym dokonywanej reformy szkoły podstawowej — jest koniecznym warunkiem w procesie wychowywania obywatela Polski Ludowej.



Do szkoły

W NUMERZE 9 (188) TYGODNIKA „WIEŚ“ Z DNIA 27 LUTEGO 1949 R.



Scena z filmu „Przeminęło z wiatrem"



Współczesna scena uliczna..

Edmund Niziurski

SYMPATIE DLA AMERYKI*)

„Najlepsza z książek, jakie czytałam. Lekko napisana. Nie nudzi opisami. Nie mędrkuje. Ma szybką, ciekawą akcję".

„Daje się czytać zawsze: w pociągu i do poduszki. Nie wymaga specjalnego przygotowania".

„Pyszne typy: geniusz przedsiębiorczości w spódnicy i okaz „prawdziwego mężczyzny", w którym zakochać się musi każda czytelniczka".

„...Z łatwością przenosi nas w inny kraj i w inne czasy, tak że czujemy się tam jak u siebie w domu".

„Subtelna krytyka minionych ludzi i obyczajów. Śmiejemy się z nich, lecz często z łezką sympatii w oku".

„....Bo właściwie jest to powieść smutna. Nierozwikłalne problemy, marzenie i rzeczywistość, cel i środki. Lecz przecież nie budzi sprzeciwu i nie rozdrażnia".

Czy to przedwojenna reklama jakiejś literackiej szmiry?

Nie, to tylko kilka autentycznych głosów czytelników i czytelniczek najpopularniejszej podobno wg statystyk amerykańskich książki świata: „Przeminęło z wiatrem" Margaret Mitchell.

Jest rzeczą charakterystyczną, jak mało umie czytelnik drobnomieszczański powiedzieć o książce, którą się przecież zachwyca.

Trudno się dziwić. Właściwa i zasadnicza przyczyna poczytności tej książki leży dość głęboko i nie dociera zazwyczaj do świadomości przeciętnego czytelnika. Tu bowiem chodzi o coś więcej niż o zwykłe „podobanie się". Tu mamy do czynienia z wypadkiem idealnego niemal zaspokajania drobnomieszczańskich gustów, klasycznego „przylegania" do drobnomieszczańskiej mentalności. Nie popełnimy chyba przesady twierdząc, że analiza choćby pobieżna „Przeminęło z wiatrem" rozwiąże nam arcyciekawe zagadnienie poczytności książek literacko drugorzędnych wśród czytelników znajdujących się pod ciśnieniem kultury mieszczańskiej.

Treścią powieści są dzieje Scarlett O'Hara — młodej Amerykanki z Południowych Stanów, córki zamożnego plantatora bawełny, osnute na tle wojny domowej w Stanach Zjednoczonych w latach sześćdziesiątych ubiegłego stulecia. Powieść jest rzeczywiście napisana bardzo popularnie, rzeczowym, epickim językiem i nie stwarza dla czytelnika, nawet niewyrobionego, żadnych trudności natury formalnej.

W osobowości bohaterki powieści, owego geniusza przedsiębiorczości w spódnicy, czytelnik z przyjemnością odkrywa kolekcję kardynalnych cnót mieszczańskich, wszystko, co sprzyja szybkiemu gromadzeniu majątku. Ponieważ zaś przywykł przyziemne cele ubierać w piórka idei, z przyjemnością stwierdza fakt, że bezwzględne i nie zawsze moralne postępowanie Scarlett uświęca autorka wyższym i szlachetniejszym celem, a mianowicie ratowaniem od ruiny Tary—rodzinnego gniazda bohaterki.

Przy sposobności zahaczamy o stary problem kwadratury koła mieszczańskiej moralności, którego teoretyczne roztrząsanie pasjonuje lepszą część kapitalistycznego świata: jak rąbać drzewo, żeby nie leciały drzazgi, czyli jak dojść do cnoty i bogactwa bez rozpychania się łokciami?

To smutne zagadnienie tkwi jak uparty kolec w literaturze kapitalistycznej. Nie można załatwić się z nim tak dyskretnie, jak z kwestiami społecznymi. Na kwestie społeczne jest zawsze lekarstwo. Wystarczy, jeśli autor zręcznie zaaplikuje solidną dawkę optymistycznego solidaryzmu społecznego. Na przykład w „Przeminęło z wiatrem", w książce, której tłem są najbardziej typowe przemiany społeczne, w kraju o wybitnym charakterze klasowym — kwestii socjalnej nie ma. Zginęła w oparach solidaryzmu. Autorka utopiła ją w sosie lokalnych patriotyzmów. W powieści walka „Północy" z „Południem" to nie starcie dwu systemów gospodarczych i społecznych, lecz jakieś porachunki honorowe, jakieś tam nieporozumienia prowincjonalne. Yankesi to nie północno-amerykańscy bussinesmani, to nie praktyczni bourgeois, to po prostu ludzie o złych manierach. Południowcy — to nie deklasujący się obszarnicy, amerykańscy panowie feudalni, to nieszczęśliwi obrońcy honoru, wydziedziczeni i prześladowani patrioci.

Lecz, operując kryteriami czytelników, „najprzyjemniej" postawiona została w książce sprawa niewolnictwa, owej hańby cywilizacji XIX wieku.

Okazuje się, że sprawa Murzynów wypłynęła dopiero na skutek nieproszonej interwencji Yankesów. Przedtem nie istniała. Autorka roztacza przed nami sentymentalne obrazki sielankowego życia niewolników murzyńskich, wiernych murzyńskich sług i patronalnie usposobionych panów.

Oto znamienna wypowiedź stangreta Piotra, czarnego zausznika konfederackiego pułkownika.

— „Po co oni (Yankesi) wtrącają się do naszych spraw?... Nie rozumieją nas, konfederatów.

— Przecież dali ci wolność.

— Nie, p'sze pani! Nie dali mi wolności. Nie dałbym się wyzwolić przez taką hołotę — rzekł Piotr z oburzeniem. — Ja jeszcze ciągle należę do panny Pitty, a kiedy umrę, ona mnie każe pochować w grobie rodzinnym państwa Hamiltonów..."

Zresztą autorka nie sili się nawet na przedstawienie właściwej warstwy niewolników. Murzyni, którzy występują w powieści wyraźnie uznaje, że w stosunkach „Królestwa Bawełny" było ono zupełnie na miejscu z korzyścią dla obu stron.

Trzeba sięgnąć dopiero do współczesnych stosunków amerykańskich, by ta postawa wydała się zrozumiała.

Niepozbawiona słuszności jest wypowiedź, że „Przeminęło z wiatrem" bardzo łatwo przenosi czytelnika w czasy wojny secesyjnej i pozwala mu się tam czuć jak u siebie w domu. Dzieje się to dlatego, że powieść nawiązuje do cichego sojuszu kapitalizmu z feudalizmem, że stara się spełnić rolę „arki przymierza między nowymi a dawnymi laty". Przez aprobatę gospodarności Scarlett powieść zbliża się do małej epopei mieszczańskiej. Lecz przez zdecydowanie ujemne potraktowanie Yankesów uwypukla zarazem sentyment dla stronników Konfederacji, dla tych co „przeminęli z wiatrem". Stąd ogólny wydźwięk uczuciowy książki jest mniej więcej tego rodzaju: „Tamte czasy były lepsze i piękniejsze, lecz skończyły się bezpowrotnie, przeto zachowując o nich dobrą pamięć, trzeba się nauczyć nowego życia". Przypomina się asnykowskie: „Trzeba z żywymi naprzód iść..."

Powyższy dualizm, typowy dla poglądów mieszczańskich, silnie występuje w omawianej książce. Wprawdzie krwawą zabawę w Ku-Klux-Klan uważa autorka za nonsens, niemniej nie podważa słuszności samych założeń Klanu. Wprawdzie delikatnie wy-



Scena z filmu „Przeminęło z wiatrem"

to, podobnie jak Piotr, wg słów autorki, Murzyni najlepsi, to rodzaj arystokracji niewolniczej, uprzywilejowana kasta, którą staranna selekcja przeznaczyła do zaszczytnej służby przy osobach państwa, to „Murzyni od pokojów".

„Dawni niewolnicy stali się teraz panami stworzenia... Lepsza klasa Murzynów, gardząca wolnością, cierpiała nie mniej od swoich białych panów. Hordy jednak, które siały najwięcej zamętu, rekrutowały się przeważnie z klas „wyrobników rolnych".

Tak to problem murzyński został sprowadzony do zagadnienia wiernych lub niewiernych sług.

Czytelnik znów będzie za to wdzięczny autorce... W ten sposób uratuje się atmosferę swojskości i przytulności. Każdy na właściwym miejscu. Wiwat wszystkie stany!

Można się tylko dziwić, że szlachetna autorka opowiada się za niewolnictwem, a już tyka tromtadrację polityczną, hurra - patriotyzm i śmiesznostki obyczajowe południowców tam wszędzie, gdzie kolidują z praktycznymi poglądami burżuazji (np. zgorszenie, jakie wywołały w „towarzystwie" handlowe przedsięwzięcia Scarlett), to jednak z drugiej strony pełna jest podziwu dla „południowych" form życia (zwróćmy uwagę na to, dlaczego to Butler uważał Melanie za „prawdziwą damę")

Mieszczaństwo przeżywało w swej historii słabość do arystokracji, chętnie przyznawało się do duchowych z nią koligacji, podziwiało styl życia i stanowisko społeczne feudałów. Podziw ten łączył się mniej lub więcej udanymi próbami naśladownictwa.

Lecz, jak widzieliśmy, czytelnika pasjonuje najwięcej centralny punkt powieści, a mianowicie problem miłości prawdziwej i urojonej rozwinięty na przykładach: Scarlett — Rett Butler i Scarlett — Ashley. Scarlett żyje złudzeniem miłości do Ashleya, człowieka typu uomo finito, romantyka nie potrafiącego przystosować się do nowych warunków. Miłość ta nie wytrzymuje próby rzeczywistości i Scarlett dojdzie poniewczasie do wniosku, że właściwie kochała tylko Retta. Rett, najlepsza kreacja powieści, jest ostrą przyprawą do tego melodramatu Południa. Reprezentuje on typ enfant terrible. Za jego pomocą autorka przeprowadza krytykę opisywanego środowiska. Na pozór cyniczny łotr bez czci i wiary, w gruncie rzeczy gentleman — ideał mężczyzny w każdym calu.

Wielkie realistyczne dzieła powieściowe mają to do siebie, że uczą lepiej historii i socjologii niż podręczniki szkolne. Przystępując do czytania Balzaca można nie mieć pojęcia o Francji w pierwszej połowie XIX wieku, a mimo to na podstawie samej lektury „Komedii Ludzkiej" otrzymać plastyczną wizję tych czasów.

Zastanówmy się, jaką wizję społeczną otrzymamy po przeczytaniu „Przeminęło z wiatrem" i skonfrontujmy tę wizję z wiadomościami teoretycznymi.

Okaże się, że powieść ta nie jest obrazem epoki, lecz fantazją przyszytą grubymi nićmi do płótna historii.

Jeśli można doszukać się tam powiązania z epoką, to więzy te są tak przypadkowe i nikłe, że uchodzą uwadze przeciętnego czytelnika.

A przecież możliwości artystyczne, jakie dawało tworzywo, były ogromne. Wojna między Unią (Stanami Północnymi) a Konfederacją (Stanami Południowymi) była klasycznym przykładem kapitalistycznej ekspansji.

Chodziło o gospodarcze podporządkowanie rolniczego, na pół feudalnego Południa — przemysłowej, kapitalistycznej Północy i dostarczenie cierpiącemu wówczas na brak sił roboczych przemysłowi taniego robotnika. Zniesienie niewolnictwa, rozbicie południowego systemu patronalnego wytworzyłoby proletariat murzyński, który w następstwie można było eksploatować w przemyśle.

Oczywiście na zewnątrz obie strony walczące zasłaniały się ideologiczną fasadą. Stany Południowe obroną prawa samostanowienia, Stany Północne — humanitarnym dążeniem do zniesienia niewolnictwa, czego wyrazem niech będzie popularna niegdyś „Chata Wuja Toma".

Lecz żeby podcyfrować ten surowy obraz historyczny z „Przeminęło z wiatrem", trzeba najpierw zdrapać wszystkie idealistyczne naloty, cały werniks solidaryzmu.

Po wojnie secesyjnej obserwujemy szybki proces deklasacji ziemiaństwa Południowych Stanów. Jedynie ci, którzy jak Scarlett i Rett Butler za cenę odrzucenia dawnych poglądów a przyjęcia moralności zwycięzców i przystosowania się do nowej rzeczywistości, zdołają przeniknąć do klasy kapitalistycznej, mają szanse utrzymania się na nogach.

Niestety proces ten ukazany jest w książce jako funkcja pewnych zmian psychologicznych, a nie gospodarczych. Przeniesienie się Scarlett do miasta i prowadzenie przez nią tartaków zostało w powieści spowodowane wyłącznie chęcią ratowania zagrożonej ruiną rodzinnej plantacji.

Południowcy prędzej, niżby to wynikało z powieści, pogodzili się z inwazją kapitalizmu północnego. Czas uśmierzył niechęć dzielnicową. Proces osmozy społecznej dokonał reszty. Południe wkroczyło w nowy okres prosperity, tym razem jednak nie sielankowej, lecz nerwowej, wielkokapitalistycznej. Południowcy nauczyli się od Yankesów businessu, Yankesi od Południowców pogardy dla „kolorowych" i linczu.

Tak więc ostatecznie zwyciężone militarnie Południe, mówiąc stylem romantyków, uratowało ducha, co więcej zdołało go rozprzestrzenić na resztę Ameryki. Nic więc dziwnego że „Przeminęło z wiatrem" nacechowane jest kultem dla Południa. Lecz niestety nie pomaga to do wypowiedzenia artystycznej prawdy o Południu. By otrzymać wizję Południa bardziej zbliżonego do prawdy o Ameryce, trzeba nam spojrzeć oczyma co najmniej Williama Faulknera.

Tylko pytanie: co wtedy zobaczy drobnomieszczański czytelnik? Czy nie odwróci się z odrazą od tej wizji, aby poszukać nowej namiastki, uspokajającej go klasowo?

*) „Przeminęło z wiatrem" Margaret Mitchell, wyd. Mieczysław Fuksiewicz i S-ka, Warszawa 1948.

Edward Martuszewski

W RAJU GANGSTERÓW

„Nie można mówić o jakimś podziemiu w Stanach Zjednoczonych z tego prostego powodu, że bardzo trudno ustalić tam jakiekolwiek granice między kryminalnym przestępstwem, businessem a działalnością polityczną".

Powyższe zdanie wyjęte jest z książki Henry Rodsa: „Przestępcy na jakich zasłużyliśmy". Znajdują one potwierdzenie w danych statystycznych oraz w wiadomościach publikowanych przez prasę i wydawnictwa amerykańskie. Oto one: W 1936 r. zarejestrowano na terenie całych Stanów Zjednoczonych 1.333.626 przestępstw, czyli mniej więcej 1 przestępstwo na 100 obywateli amerykańskich. Cyfra ta obejmuje 13.242 zabójstw, 111.074 napadów z bronią w ręku, 278.823 włamań, 213.712 kradzieży samochodów. Rozmach iście amerykański!

W roku 1940 cyfra przestępstw w Stanach Zjednoczonych wzrosła na przeszło półtora miliona, a prasa amerykańska obliczyła, że w ciągu minuty popełnia się w kraju wuja Sama przeciętnie 3 przestępstwa; co 44 minuty ma miejsce zabójstwo człowieka, co dziewięć minut grabież, co 10 minut kradzież z włamaniem, co 3 minuty kradzież samochodu.

Jeśli komuś zginie samochód, nie jest to jeszcze takie straszne nieszczęście w porównaniu z zaginięciem człowieka, skoro w San Francisco ginie rocznie bez śladu 2000 ludzi, w Los Angeles 3 tys., w Filadelfii 5 tys., a w Nowym Jorku 13.000.

W roku 1947 zarejestrowano w Stanach Zjednoczonych 1.665.110 przestępstw. A jaka była interwencja amerykańskich władz bezpieczeństwa i sprawiedliwości?

Sędzia chicagowski Cavanah obliczył, że w Stanach Zjednoczonych w 1926 r. znajdowało się na swobodzie 135.000 morderców; inny prawnik określił liczbę nieukaranych przez amerykańskie sądy morderców w r. 1936 na 281 tysięcy. W roku 1940 zlikwidowano w Nowym Jorku „trust zabójców", który wykonywał morderstwa na podstawie zawartych kontraktów handlowych. „Trust" (zostawiam słowo amerykańskie, gdyż brak mi polskiego) „przejawiał ożywioną działalność" na terenie całych Stanów Zjednoczonych, a likwidacja jego wykazała, że szereg kontraktów nie zostało wykonanych z powodu „nawału pracy".

Ile takich „trustów" działa jeszcze na terenie „ziemi (nie) obiecanej"? Trudno na to pytanie odpowiedzieć, by nie było ono jednak retorycznym, podam dwie cyfry z okresu walki z prohibicją (a wiadomo, że walka z alkoholizmem zamieniła się w Stanach Zjednoczonych w walkę z prohibicją — nie potrzebuję chyba przypominać, po której stronie było zwycięstwo). A więc: na 17.972 osoby zaangażowane do strzeżenia ustaw prohibicyjnych zwolniono z pracy 13.588 osób za to, że dawały się przekupić.

Branie łapówek stało się nagminne u amerykańskich władz bezpieczeństwa.

Społeczeństwo amerykańskie zostało obrabowane w 1901 roku przez swoich gangsterów na sumę 1 miliarda dolarów, w 1925 r. na sumę 10 miliardów, a w 1937 r. (według danych dostarczonych przez szefa policji amerykańskiej Edgara Hoovera) „zyski" bandytów osiągnęły sumę 15 miliardów dolarów. Czyż można się więc dziwić, że „dla wszystkich starczy" — jeśli się już trzeba dzielić.

Czy można się również dziwić, że (zawsze wg źródeł amerykańskich) — dwieście kilkadziesiąt tysięcy osób winnych zabójstwa znajduje się w Stanach Zjednoczonych na wolnej stopie, a do więzienia zamykani są: **Howard Fast, John Lawson, Albert Maltz** i inni, za to tylko, iż pozwolili sobie na słowa krytyki pod adresem ustroju kapitalistycznego?

Melvin Parvins pisze w swej książce „Amerykański agent", że wspaniały rozwój przestępczości w Stanach Zjednoczonych byłby niemożliwy, gdyby **przestępstwo nie było tam businessem.** Istotnie — zbrodnia musi się opłacać, by warto było ją popełnić. Nie można się więc dziwić cytowanym przeze mnie cyfrom. Ustrój panujący obecnie w Stanach Zjednoczonych pozwala na traktowanie przestępstwa jako dobrego interesu.

Po okresie „indywidualnej inicjatywy" i okazyjnych band gangsterskich opanowana przez trusty i koncerny Ameryka znajduje się obecnie w okresie monopolizacji gangsterstwa w oparciu o zasady komercjalne. Tyczy to przede wszystkim zbytu przedmiotów ukradzionych i zrabowanych. W Stanach Zjednoczonych istnieją usankcjonowane przez prawo „agencje" handlowe, których zadaniem jest „odszukiwanie" skradzionych samochodów. „Agencje" są naturalnie jedynie filiami niezalegalizowanego trustu gangsterów samochodowych

Przestępczość w Stanach Zjednoczonych posiada jednak nie tylko aspekt handlowy. Jest ona narzędziem **walki politycznej.** Obie rzeczy dają się w Ameryce bardzo łatwo pogodzić. W kraju tym bowiem około miliona osób nie posiada stałej pracy, lecz mimo to nie uważa się ich za bezrobotnych. Są to tak zwani „politicians" — „politycy", których zadaniem jest prowadzenie kampanii wyborczej, urabianie opinii publicznej, spełnianie obowiązków „gospodarza" w klubach partyjnych. Taki „gospodarz" zwany w Stanach Zjednoczonych „boss'em" staje się najczęściej „szarą eminencją" danego miasta. Połączenie obowiązków bossa z zawodem gangstera jest częstym zjawiskiem po tamtej stronie Atlantyku.

„Najpiękniejszym" przykładem takiej łączności gangstera z polityką, jest bodaj że postać znanego w całej Ameryce Toma Pandergasta. Z szynkarza stał się gangsterem, następnie businessmanem, miejscowym partyjnym bossem, kończąc swoją karierę jako „polityczny przywódca na wielką skalę".

Gangsterstwo jego zaczęło się już w szynku, w okresie prohibicji, a trwało w różnych formach aż do śmierci. Dzięki swym „wszechstronnym uzdolnieniom" Pandergast został wielkim kapitalistą, monopolizując handel cementem w stanie Missouri. Drogą intryg doszedł do stanowiska bossa — polityka.

Będąc bossem w Cansas-City Pandergast był wielkim działaczem partii demokratycznej i jako taki otrzymał w 1938 roku z rąk Mussoliniego order Korony Włoch. Inny gangster chicagowski, Charles Luciano był przywódcą faszystowskiej organizacji „Związku Sycylijskiego". Faszystą był również jeden z największych gangsterów w Cansas-City, Johnny Lazzio, pupilek Pandergasta i jego polityczny adiutant.

Po śmierci Pandergasta jego koledzy partyjni sfałszowali w 1946 roku miejscowe wybory, lecz zostali przyłapani na gorącym uczynku. Siedemdziesięciu osobom groziła kompromitacja. Dowody ich winy złożone zostały w kasie ogniotrwałej w piwnicach miejscowego sądu, lecz ani to, ani stalowe drzwi zamykające wejście do piwnic, nie przeszkodziło wykradzeniu kompromitujących dokumentów, które naturalnie zginęły bez śladu.

Gangsterzy należą do najpopularniejszych ludzi w Stanach Zjednoczonych. W dwunastu gazetach wychodzących w Waszyngtonie tematowi gangsterskiemu poświęconych jest od 11 do 33 procent całości numeru. Sprawie sławnego gangstera Al Capone pisma amerykańskie poświęciły 1.587.422 kolumn gazetowych, a w 1947 roku chciano nawet nakręcić film poświęcony życiu i twórczości tego bandyty.

Jeśli nawet film ten nie został zrealizowany — młode pokolenie amerykańskie może z powodzeniem „kształcić się" na przyszłych gangsterów na podstawie popularnych **historyjek tzw. „Comics"**, a przede wszystkim na niedościgłych wzorach **made in Hollywood.**

W 1948 roku najbardziej rozchwytywaną książką na amerykańskim rynku księgarskim była książka „Jak bezkarnie popełnić morderstwo", napisana przez byłego scenarzystę filmowego Daniela F. Eherna, a wydana w 200.000 egzemplarzy.

Prof. Blumer i Hauser opublikowali ostatnio książkę pt. „Filmy, a przestępczość", w której omawiają 30 sposobów kradzieży, napadów i oszustw popularyzowanych przez filmy hollywoodzkie.

Czy można więc dziwić się amerykańskim milionowym cyfrom popełnianych przestępstw, czy można być zaskoczonym faktem prześladowania ludzi o postępowych przekonaniach, a pozostawieniem na wolnej stopie zbrodniarzy i morderców? Wielotysięczne zastępy gangsterów są **czołówką amerykańskiej reakcji i posłusznym narzędziem w rękach tych, którym zależy na eksploatacji mas pracujących.** Dziś w Ameryce nie ma kryminalnego podziemia, lecz istnieje jedynie ścisły sojusz klas panujących z elementami przestępczymi, **sojusz kapitalistów z bandytami.**

Gangsterstwo jest ostatnim stadium moralnego rozkładu społeczeństwa kapitalistycznego. Tylko daleko posuniętym moralnym i duchowym rozkładem plutokracji amerykańskiej można sobie wytłumaczyć wielki rozwój „zawodu" gangsterskiego w Stanach Zjednoczonych.

Anna Kowalska

List z Wrocławia

O POWIEŚCI ODCINKOWEJ

(czyli gitara ks. Robaka)

Jadę pociągiem — mówi inspektor kulturalno-oświatowy, pan K. — obok mnie siedzi uczeń, jakieś szesnaście lat, i czyta książkę. Państwo wiecie, jak mnie każdy czytający interesuje, więc pytam: „pan czyta jakąś ciekawą książkę?" — „Nie. To Pan Tadeusz, i już drugi raz go czytam — pochwalił się uczeń. — „A można wiedzieć co się panu najwięcej spodobało w Panu Tadeuszu?". — Uczeń milczał, wreszcie po namyśle rzekł: „no, chyba... gitara księdza Robaka".

Nie tylko inspektorzy kulturalno - oświatowi mają możność raz po raz przekonywać się, jak niewiele zostaje w pamięci słuchacza po wysłuchaniu odczytu, czy przeczytaniu książki.

Jeśli zaczynam od anegdoty dość odległej od tematu głównego, a mianowicie o powieści, ukazującej się w pismach codziennych, to dlatego, że anegdota o gitarze księdza Robaka, zilustruje moją propozycję dotyczącą powieści odcinkowej.

Od czasu, kiedy we wrocławskim „Słowie Polskim" zaczął się druk powieści Dołęgi - Mostowicza „Karierą Nikodema Dyzmy", można było nieraz zauważyć, że jadący w tramwajach zaczynali czytać gazetę od ostatniej strony. Przed kioskiem uczniacy wczytywali się z wypiekami na twarzy w odcinek „Kariery". Myślę, że gdyby urządzić konkurs czytelników „Słowa" na najlepszą książkę, „Kariera" otrzymałaby pierwsze miejsce.

„Kariera" wydaje mi się książką szczególnie demoralizującą i dającą fałszywy obraz stosunków ludzkich. Przedstawienie świata jako zbiorowiska głupców, których można tak łatwo okpić, jest niemal zaproszeniem do przestępstwa.

Kiedy wspomniałam o tym w szerszym kole, obecny przy rozmowie znany krytyk literacki zapewnił mnie, że „Kariera" jest świetną powieścią i że on sam nie opuszcza ani jednego odcinka.

— Nie ma ciekawych polskich powieści — tłumaczy jeden z redaktorów — jak się już znajdzie jakąś niepretensjonalną, o żywej akcji, pisaną językiem zbliżonym do języka potocznego, to musi się ją brać.

— Tyle hałasu o Nikodema Dyzmę? — zaśmiał się kolega, lubiący kolor popielaty i wyznający zasadę: surtout point de zêle, czyli brońcie się przed gorliwością.

— Nie chodzi o Dyzmę, chodzi o czytelników — odparłam.

— Ale jeśli czytelnicy są zadowoleni, to gdzież krzywda? — żartował kolega.

Pewnie byłabym odłożyła swoje uwagi do lamusa poniechanych zamiarów, gdyby nie interwencja życia, która dostarczyła mi drugiej anegdoty i nakłoniła do zabrania głosu.

Na konferencji w szkole rozmawiam z panią Z., wdową po zecerze. Kobieta niestara jeszcze, ale zmęczona pracą i troskami a może i własną gorliwością, bo jest z tych, co to nie zbędą żartem kogoś, komu trzeba dopomóc. Nienajmniejszą jej troską jest, aby swego jedynaka wyprowadzić na ludzi.

— Zły nie jest — mówi, patrzy bystro i uważnie słucha — ale uśmiecha się, jak go do nauki czy do jakiej roboty zaganiam. Wymądrza się wtedy: „ja nie z lenistwa, mamo, tylko wiem, że jak człowiek zacznie pracować, to przepadł, już go robota nie wypuści. Musi być jakiś sekret, jakiś sposób na życie.

— Jak to on triumfuje nade mną, kiedy czyta w gazecie powieść, co to teraz dają w odcinkach. Znalazł nareszcie kogoś, kto jadł kołacze bez pracy.

— Wie pani, matka to się wiecznie boi, żeby chłopak z głupoty w jakie nieszczęście nie popadł. Ojciec jego był — kobieta milknie na chwilę i ręce przyciska do zapadłych piersi — ...był taki porządny człowiek. A Mietek tylko o tym marzy, żeby KARIERĘ zrobić.

Nie tylko Mietek, myślę, jest to marzenie stare jak świat, chociaż kariery różnych epok są do siebie tak mało podobne jak ich stroje.

Robienie kariery jest treścią trzech czwartych powieści obyczajowej, ale nigdy chyba „karierowicz" nie był tak mało wart jak Dyzma. Sekret na „zdobycie świata", jakiego poszukiwał Mietek, jest prosty: dużo bezczelności, łut szczęścia i gotów. Pracować? Niech to robią inni.

Nasz kolega (lubiący kolor popielaty i wyznający zasadę: surtout point de zêle) zapytał mnie kiedyś z niezmiernym rozbawieniem, czy przypadkiem nie marzę o tym, aby w gazetach codziennych drukowano arcydzieła zamiast popularnej a niezawodnej powieści kryminalnej, przyprawionej odpowiednią dozą pornografii.

Nie zdobyłam się na odpowiedź, ale wspomniawszy potem na „gitarę księdza Robaka" rozmyślałam, czy czasem nie można by przemycić zamiast Nikodema Dyzmy Juliana Sorrela czy Rastignac'a.

Zwracam się w tym liście do czytelników z zapytaniem, JAKIEJ PRAGNĘLIBY „POWIEŚCI ODCINKOWEJ"? Redakcja „Wieś" z pewnością zamieści wypowiedzi czytelników różnych środowisk. Będzie to pouczająca i pożyteczna ankieta.

Maciej Koliba

JESZCZE JEDEN ZACIĄG

Wykonanie zadań, jakie plan sześcioletni na odcinku życia gospodarczego i kulturalnego stawia przed społeczeństwem — wymaga zwiększenia kadr inteligencji technicznej, wymaga dużej ilości pracowników naukowych i kulturalnych. Rzecz jasna, że szybsze i prawidłowsze wykonanie nakreślonych zadań będzie w dużym stopniu zależało od tego, czy te nowe kadry inteligencji będą pochodziły z klas społecznych, w interesie których dokonuje się przebudowa kraju.

Troską państwa ludowego od pierwszych lat było wprowadzenie do szkół wszystkich stopni jak największej liczby młodzieży pochodzenia robotniczego i chłopskiego. Przypominamy sobie walkę o zmianę składu społecznego młodzieży na wyższych uczelniach, przypominamy sobie wprowadzane formy szkolenia zawodowego, kursy przygotowawcze, kursy zerowe na wyższych uczelniach. Obecnie dla chłopskiej i robotniczej młodzieży, która z takich czy innych względów nie mogła tymi kanałami być doprowadzona do zdobycia wiedzy i zawodu, otwiera się jeszcze jedna szansa: dwuletni uniwersytecki kurs przygotowawczy. „Towarzystwo Uniwersyteckich Kursów Przygotowawczych" zleciło Związkowi Młodzieży Polskiej przeprowadzenie rekrutacji wśród zdolnej a pozostającej poza szkołą młodzieży chłopskiej i robotniczej. Rekrutacja ta ma się dokonać do 1 kwietnia bieżącego roku. 1.850 zdolnych, młodych ludzi może się dostać na te kursy. Jest to naturalnie początek akcji.

Jakie czynniki w terenie dokonają wytypowania tej młodzieży? Mają się tym zająć partie polityczne, Związek Samopomocy Chłopskiej. Koła gminne PZPR, SL, czy ZSCh muszą dobrze rozejrzeć się w terenie, by wyłowić najwartościowszy element. Faktem jest niewątpliwym, że na terenie gmin mamy w tej chwili wielu przodowników wiejskich, którzy w pracy społecznej, gospodarczej i kulturalnej wykazują duże uzdolnienia.

W tej grupie przede wszystkim trzeba dokonać wyboru. Zdobyty kapitał wiedzy da tym ludziom jeszcze surowym a garnącym się mimo to do pracy społecznej — narzędzia do opanowania wszystkich zagadnień życia gospodarczego i kulturalnego, jakie są do rozwiązania w terenie, z którego pochodzą. Mogą oni tu wrócić już jako lekarze, agronomowie, oświatowcy. Można przyjąć, że nastawienie kandydatów, wytypowanych przez komórki partyjne czy zarządy ZSCh, przy wyborze kierunku dalszych studiów będzie uwarunkowane potrzebami ich środowisk.

Ten nowy zaciąg młodzieży chłopsko-robotniczej pozwala nam przypuszczać, że żadna zdolna i uspołeczniona jednostka nie przepadnie, a tym samym kapitał społeczny, jakim jest człowiek, zostanie wykorzystany w jego najwłaściwszych funkcjach

Na przeprowadzenie rekrutacji czasu jest niewiele, pozostaje zaledwie miesiąc. W tym okresie wieś przez swoich przedstawicieli musi się dobrze naradzić, kogo spośród siebie wysłać po wiedzę, którą kandydaci mają wzbogacić społeczeństwo i dopomóc mu do przeprowadzenia gospodarczych i kulturalnych planów

Oczekujemy z terenu informacyj, kogo i dlaczego wysunięto na kandydata Uniwersyteckich Kursów Przygotowawczych.

FAKTY i ZDANIA

O żółwiu

Kolega **r. m.** w poprzednim numerze „Kuźnicy" (Nr 8) wykropił na 2 szpalty polemikę z artykułem Budreckiego „Liberalizm wobec imperializmu" („Wieś" Nr 7). Dwie szpalty. W post scriptum dodał taką uwagę: „Dla ścisłości zaznaczamy, że w ostatnim (8) nr „Wsi", który ukazał się **po napisaniu powyższego felietonu, zamieszczona została nad wyraz słuszna i rzeczowa** polemika z artykułem Budreckiego pióra Pauliny Czyżowej, **całkowicie pokrywająca się z naszym stanowiskiem".** Skoro stanowisko Wasze, kol. r. m., pokrywa się z naszym, to czy nie wystarczyła tylko ta notatka? Po co ma dwoje gadać dwa razy to samo? Przy czym, jak wiadomo, gdy dwoje robi to samo — nie wychodzi to tak samo. A kto to zrobił (tę krytykę Budreckiego) lepiej — popytajcie ludzi. Krótko mówiąc — mało Wam było powitać z uznaniem „nad wyraz słuszną i rzeczową polemikę P. Czyżowej", należało ją przedrukować — w całości, w cytatach, bodaj streścić.

A co najmniej, Kolego, pisać felieton (byłyby trzy szpalty!) o artykule Budreckiego i odpowiedzi Czyżowej łącznie, bo te dwie wypowiedzi stały się już faktem publicznym, który na tydzień poprzedził wyjście „Kuźnicy" z Waszą polemiką. Dlatego pytam, co to znaczy, że Wy replikę Czyżowej umieszczacie w numerze „Wsi", „który — Waszym zdaniem — ukazał się już **po napisaniu powyższego** (tzn. Waszego) **felietonu"**? A cóż to kogo obchodzi, kiedy Wyście napisali, czy podyktowali maszynistce. To Wasza prywatna sprawa. I słowo honoru nie będzie ważne, bo nie ma tu dla niego miejsca. Faktem jest, żeście się z **drukiem publicznym spóźnili!** I to jest prawdą i to jest faktem Wy przestrzegacie młodych krytyków we „Wsi" przed „pośpiechem", my się odwzajemnimy przyjacielskim ostrzeżeniem Was przed „spóźnianiem się".



Nie naśladujcie kol. r. m. kol. Ryszarda Matuszewskiego, który z opisem **jesieni czeskiej** zwleka **do lutego**, który do obejrzenia Słowacji zbierał się przez lata całe. — „Ciągnęło mnie — pisze R. Matuszewski — od dawna. Ściśle biorąc, od piętnastu lat".

Bójcie się Boga, tak nie można! **j. a. k.**

A może to poskutkuje?

Z zainteresowaniem przeczytałem artykuły J. A. Króla — „A czy angażujecie się w ruchu masowym?" („Wieś" Nr 3/49) i E. Niziurskiego — „Słów parę o prowincji" („Wieś" Nr 6/49):

Pobudziły mnie one do skreślenia kilku uwag, którymi chciałbym się podzielić z czytelnikami „Wsi".

Jasne jest, że dziś, w okresie świadomego budowania socjalizmu w Polsce, zmieniamy organizację kultury i formy konsumpcji dóbr kulturalnych. Jeżeli kol. Gierowski liczy na prywatnego konsumenta w Kielcach czy nawet Krakowie, Łodzi czy Warszawie to znaczy, jeżeli sądzi, iż jego obrazy znajdą jedynie prywatnych odbiorców, to popełnia błąd podstawowy. Czasy, kiedy ziemiańska arystokracja i bogaty bourgeois sprawowali mecenat nad sztuką — przeminęły. Mógłby mnie ktoś (może nawet kol. Gierowski) spytać, czy istnieją w Polsce, poza „galerią" bogatych burgois, którzy kompletowali dzieła sztuki bądź przez snobizm, bądź dla lokaty kapitału, jacyś inni odbiorcy sztuki?

Oczywiście, tacy odbiorcy są, choć zapewne nie mogliby oni pełnić funkcji mecenasów sztuki Robotnik z huty „Ludwików" lub państwowy urzędnik Prokuratorii Generalnej w Kielcach nie może nabywać indywidualnie obrazów. W szeregu wydatków budżetowych pierwsze miejsce zajmują niestety nadal jeszcze: ubranie i wyżywienie. Ale nie o to przecież chodzi. Naczelnym problemem jest upowszechnienie wiedzy o sztukach plastycznych. Obraz u prywatnego posiadacza ogląda rodzina i najbliżsi z towarzyskiego kręgu.

Dlatego w narodowym planie organizowania masowego odbiorcy mamy do czynienia: 1) z mecenatem pełnym (jeżeli można tego sformułowania użyć), 2) mecenat ten to świetlice, publiczne wystawy stałe i objazdowe, powstające galerie sztuk pięknych i muzea, 3) spełnia on podwójną funkcję: raz, że organizuje masowego odbiorcę, dwa — eliminuje „niezrozumialstwo" w sztuce, a więc zmusza malarzy do liczenia się z odbiorcą. Wyznacza niejako temat twórczości, czyli — „wmontowuje" świat artystyczny w zakres potrzeb estetycznych świata pracy.

Kolega Gierowski skarży się na brak zainteresowania pracami młodych plastyków. Spróbujcie, Kolego, urządzić taką imprezę: odczyt w sali kinowej z przeźroczami na temat np. realizmu socjalistycznego dla miejscowego świata pracy. Związki Zawodowe chętnie na taką imprezę pójdą. Temat znacie, prawda? Jesteście przecież po dyplomie z A.S.P. I namalujcie wreszcie portret przodownika pracy ze „starego Ludwikowa" zamiast przysłowiowych „aktów kobiecych", które zalegają Waszą pracownię. A może to poskutkuje? **J. B.**

Camera obscura

Redaktor działu Camera Obscura w „Odrodzeniu" ma coraz więcej kłopotu, a coraz mniej dowcipu. W ostatnim tygodniku zabrakło mu materiału, jedną szpaltę wypełnił więc sprytnie jednym rysunkiem we wszystkich możliwych pozycjach, na drugiej zaś przedrukował fragment powieści Teodora Goździkiewicza „Lipniacki świat". Zaznaczył wprawdzie na wstępie, że mamy do czynienia ze „swoistym" stylem i „swoistymi" poglądami autora na „przyczyny niedoli chłopskiej w Polsce przedwrześniowej", jednak ani rusz w przytoczonym fragmencie nie mogliśmy się dopatrzeć powodu tej ironii. Co prawda, to prawda. Przypuszczamy, że Camera Obscura nie ma na celu jedynie obśmiewania ludzi. Znamy dobrze Goździkiewicza, pisaliśmy o jego książkach niejednokrotnie i chętnie z redaktorem Camery podyskutowalibyśmy na ten temat, jeżeli tylko zna on nasze opinie w tej sprawie. Stanowczo jednak musimy się przeciwstawić metodzie wyśmiewania książki, zanim się ona ukaże, przez insynuowanie autorowi poglądów, jakich bynajmniej nie wyraża, na podstawie fragmentu. A tak postępuje „Odrodzenie" z Goździkiewiczem.

Trafnie zaobserwował Goździkiewicz, czy nawet zapamiętał z własnego doświadczenia, że starzy chłopi uważali za święty obowiązek dzieci pracować w gospodarstwie. Gospodarstwo wiejskie o zacofanych formach i organizacji wymagało pracy od wszystkich członków rodziny. Im więcej dzieci, tym więcej rąk do pracy na swoim albo do obowiązkowego wyrobu u bogatego chłopa. Ojciec Jasia w powieści Goździkiewicza był leniwy, wolał iść nad rzekę niż do roboty. Znamy z literatury o wsi podobne typy. To jednak nie znaczy, że Goździkiewicz oskarża wszystkich chłopów o lenistwo, które ma być właśnie przyczyną „chłopskiej niedoli". Redaktor Camera Obscura nie umie czytać, jeśli nawet styl Goździkiewicza wydaje mu się „osobliwy". Styl Goździkiewicza jest prawie zawsze poprawny, a już z pewnością najmniej manieryczny ze wszystkich pisarzy z tzw. chłopskiej grupy prozaików. Po przeczytaniu „osobliwej" prozy Goździkiewicza zamieszczonej w Camera Obscura, prozy charakteryzującej się bardzo prostymi, krótkimi zdaniami i stosunkowo małą ilością przymiotników, sięgamy do noweli Baro w tymże numerze „Odrodzenia". Aha, teraz wszystko staje się zrozumiałe! Po prostu przestawiono strony. To opowiadanie Baro pisane stylem bezsprzecznie „osobliwym" miało się znaleźć w Camera Obscura. Oto pierwsze zdania:

„Jeszcze nie ustały śmiechy za szarym płótnem namiotu. Żelazne kołki z przycumowanymi do nich linami, spływającymi z góry ze spopielałej w mroku wieczoru masy powietrza, prześwietlonej wyciekającym szparami w płótnie żółtym światłem, omijałem ostrożnie".

I tak dalej na całej kolumnie. Tylko że tutaj nawet redaktor Camera Obscura nie dociekłby sensu. **P. Cz.**

Wiedza czy odważniki szarlatana



Szanowny Redaktorze!

W „nastroju materialistycznym łatwo się krzewi i etyka niska, egoistyczna, nawet zbrodnicza..." „Histologia dociera pod mikroskopem do najtajniejszych szczegółów budowy drobnowidzowej, uczy nawet, że kora mózgowa jest siedzibą duszy ludzkiej..."

Znacie te cytaty. Pisaliście niedawno o książce, z której zostały wybrane. Artykuły Wasze i W. Jedlickiego w 6 numerze tyg. „Wieś" z br. wykazały całkowitą bezwartościowość książki profesora historii i filozofii, dr W. Szumowskiego („Filozofia medycyny") z punktu widzenia wiedzy filozoficznej. Zwróciliście również uwagę na szkodliwą społecznie wymowę tego „vademecum" dla lekarzy, do którego „pakuje się pseudonaukowe rozważania o **określonym reakcyjnym sensie społecznym i politycznym**, rozważania, które propagują pewną postawę życiową, polegającą na sceptycznym ustosunkowaniu się do wszystkiego co racjonalne i oparciu się — tu już bez żadnego sceptycyzmu — o sutannę księdza i odważniki szarlatana".

Jestem młodym lekarzem. Bezpartyjnym, ale nie apolitycznym. W klerykalnych i „pomikołajczykowskich" kołach mojego prowincjonalnego (nawet nie powiatowego) miasteczka uchodzę za „skrajnie czerwonego". Wyczuwam nawet pewną niechęć i nieufność ze strony moich kolegów lekarzy. I głos mój tę nieufność jeszcze pogłębi. Lecz mnie nie idzie o nieufność, ale o **postawę społeczną moich kolegów - lekarzy.** Nie nieufność, ale ich postawę chcę zwalczyć. Dlatego Wasze wznowienie dyskusji o organizacji służby zdrowia uważam za nad wyraz konieczne!

Casus Szumowskiego daje sposobność podeprzeć Waszą walkę o jak najszybsze uspołecznienie techniki medycyny. Książka Szumowskiego nie powinna była być wydana. Umacnia ona postawę reakcyjną niektórych lekarzy. Jeszcze w wielu wypadkach lekarz zachowuje dziś postawę burżuazyjną wobec mas ludowych. Uważa siebie za kapłana tajemnej wiedzy, która nie może być dostępna dla innych, a swój gabinet lekarski za przedsiębiorstwo handlowe. Znam wypadki, w których lekarz występuje jednocześnie jako mag i przedsiębiorca. Znam wypadki niemal znachorskiego podejścia do leczenia (według prof. Szumowskiego znachorzy i uzdrowiciele odznaczają się szczególnymi własnościami „magnetycznymi"), gdzie pacjentowi każe się wykonywać najrozmaitsze „tajemne" czynności, zginanie, obracanie się, otwieranie i zamykanie oczu itp. cynności nie mające nic wspólnego z jego chorobą.

Jasne, że takie podejście do ludzi pracy i takie leczenie było możliwe tylko w ustroju kapitalistycznym. Młodzi, postępowi lekarze muszą się dziś włączyć w budownictwo nowej, ludowej, socjalistycznej Polski, jak włączyli się robotnicy, chłopi, jak włączają się pisarze, artyści. Poprzez uspołecznienie techniki medycyny, przez gruntowną naukę, przyswajanie sobie najnowszych zdobyczy wiedzy i techniki lekarskiej (czy ogół lekarzy zna osiągnięcia nauki radzieckiej np?), przez wspólną walkę z klasą robotniczą i chłopską o poprawę warunków społecznych, które mnożą klasowe choroby (jak Wy piszecie Redaktorze), a nie przez działanie „sub specie aeternitatis" — jak chce prof. Szumowski.

Młody lekarz z Kieleckiego

Nowa gwiazda krytyki literackiej



Na niebie krytyki literackiej zajaśniała nagle nowa gwiazda. Jest nią generał amerykański Clay. Osobliwe są metody krytyki literackiej gen. Clay'a. Przypuśćmy, że jakaś książka nie podoba się panu generałowi. Myślicie, że pisze rozprawę na temat książki, ogłasza artykuł? Gdzie tam! Każe książkę po prostu zniszczyć, spalić. Wzorów mu nie braknie: święta inkwizycja, Mussolini, Hitler, z żyjących Franco...

Taki los spotkał ostatnio, jak podaje „Literaturnaja Gazeta", zbiór poezji Majakowskiego, który ukazał się niedawno w Berlinie przełożony na język niemiecki. Co tak rozgniewało p. generała, że wydał rozkaz zniszczenia wszystkich egzemplarzy tego zbiorku, znajdujących się w strefie amerykańskiej „okupowanych" Niemiec? Czytajmy tekst, bo pan generał nic przecież na ten temat nie napisał. W wierszu o Hawannie pt. „Black and White" czytamy:

„W Hawannie
wszystko wyraźnie się dzieli:
Białym dolary,
a czarnym nie.
Dlatego też
Willy
jest czyścicielem
U Henry Clay and Bock Eltede".

Co się okazuje? Oto ów pan Henry Clay z „Black and White" to nikt inny, tylko — jak stwierdza „Literaturnaja Gazeta" — rodzony tatuś pana generała. A pan generał — rodzony synek wielkiego kapitalisty i hurtownika tytoniu, który uciska robotników. (Wiedział Truman, komu powierzyć rządy w „Bizonii"). Co by było, gdyby tak robotnicy niemieccy, czytając wiersze Majakowskiego, zobaczyli wyłaniające się spoza szlif amerykańskiego generała **prawdziwe** oblicze pana Clay'a, kumającego się z niemieckimi właścicielami fabryk, hut, kopalń i banków? Do tego przecież nie można dopuścić. Niech raczej poezja zaginie, niech księgi ogień strawi, niżby robotnicy mieli sobie uświadomić, że pan Clay (et Company) jest jednak generałem kapitału i przyjacielem Kruppów itp. wszystkich, którzy myślą o trzeciej wojnie. **k. m.**

Pisarz i listonosz

Dnia 20 lutego odbył się w Łodzi I zjazd listonoszów wiejskich województwa łódzkiego.

W rezolucji zjazdowej czytamy m. in.:

„My listonosze wiejscy, rozumiejący w pełni ciążące na nas zadania i obowiązki solennie przyrzekamy, że dołożymy wszystkich naszych sił i starań, by zjednać jak największą ilość prenumeratorów na wsi dla demokratycznej prasy i książki i wykonać z nadwyżką zaplanowaną na rok 1949 pracę. Starać się będziemy o wzięcie jak najaktywniejszego udziału we współzawodnictwie pracy stanowiącym jedynie słuszną drogę dla osiągnięcia dobrobytu całego Narodu Polskiego".



Po kongresie zjednoczeniowym partii robotniczych pisał Jerzy Borejsza w „Odrodzeniu", że **„awans kulturalny proletariatu i nieodstępnie idące z nim w parze podniesienie poziomu kulturalnego wsi — stwarza niebywałe, niespotykane dotąd perspektywy odbioru twórczości artystycznej".** Jeszcze w pierwszym roku niepodległości, stwierdza Borejsza, przejawiały się tendencje prawicowe, szkodliwe, uważano często, że najpierw należy pracować dla „górnych warstw", „które później poniosą kulturę w lud". Było to oczywiście w pewnych wypadkach nieświadome, w innych celowe przedłużanie tradycji przedwojennej organizacji kultury na wsi. Zapominano jednak, że przed wojną chłop dlatego tylko mało czytał, dlatego rocznie mógł wydawać na książki, gazety i korespondencję zaledwie 1 zł 60 gr (tj. tyle ile wynosiły 3 uczniowskie bilety do kina), a na kształcenie dzieci 16 zł (tj. tyle, ile wynosiła kwartalna prenumerata „Wiedzy i Życia" — (Curzytek, „Położenie gospodarstw włościańskich w r. 1938—39"), że klasy posiadające władzę i kapitał celowo utrzymywały wieś w zacofaniu gospodarczym i kulturalnym.

A tymczasem po czterech latach niepodległości powstają dla robotników i chłopów „Kluby Dobrej Książki", wychodzą tanie książki, rośnie ilość świetlic, punktów bibliotecznych, nakłady pism i tygodników wzrosły w stosunku do przedwojennych czterokrotnie i trzydziestokrotnie! „Niektóre tytuły dzieł klasyków literatury polskiej przewyższają wszystkie dotychczasowe nakłady. „Stara Baśń" Kraszewskiego w jednym tylko wydawnictwie przekroczyła 150 tysięcy, powieści współczesne są wykupywane w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, książki naukowe i podręczniki szkolne w setkach tysięcy egzemplarzy, niektóre dzieła klasyków marksizmu przekraczają pół miliona" (J. Borejsza j. w.).

W organizacji kultury na wsi pisarz i listonosz wiejski stoją w jednym szeregu. Od ludzi pióra wymaga się najlepszej prozy, od listonoszy jej rozprowadzenia. I to jest zawarte w rezolucji:

„Uświadomienie ludności wiejskiej przez gazetę i książkę, którą doręcza listonosz wiejski, kładzie trwałe fundamenty dla budowy silnej gospodarczo i politycznie Polski ludowej, dla budowy podstawy wyższego ustroju Polski Socjalistycznej". **t. z.**

...Jaką wy potraficie stworzyć!

Mamy z początkiem bieżącego roku do zanotowania dwie ważne sprawy na odcinku młodzieżowym.

1. „Służba Polsce" obchodzi w lutym pierwszą rocznicę swego istnienia. Jakiż bilans? 24.000 hufców, 1.100.000 młodzieży, w tym 50 proc. chłopskiego pochodzenia. Stokilkadziesiąt tysięcy młodzieży przy wielkich robotach inwestycyjnych, których pełną realizację przewiduje plan 6-letni. Inaczej mówiąc chodzi o powstanie setek nowych fabryk, szczególnie we wschodnich dzielnicach Polski, o powołanie do życia nowych miast i ożywienie dziesiątek starych, aby przebudować w rezultacie ustrój gospodarczy państwa i podwoić produkcję przemysłową w stosunku do jej osiągnięć z roku 1948. 250.000 młodzieży z S. P. przy doraźnych pracach nad odbudową fabryk, portów i miast. Ponad 7000 przodowników przeszkolonych w S. P. (w tym 300 traktorzystów), ponad 18.000 młodzieży, przeważnie biedoty wiejskiej, zaawansowanej do szkół zawodowych, do szkół podoficerskich i oficerskich

2. Związek Młodzieży Polskiej wszedł w nowy etap pracy. Stawia przed sobą szereg nowych zadań. Podkreślamy tu tylko jedno z nich „ZMP" — mówił wicemarszałek Zambrowski — jest z samego swojego charakteru organizacją robotniczo-chłopską. I w naszych warunkach ilość młodzieży chłopskiej w ZMP może osiągać 50 proc. i nawet tę cyfrę przekraczać. A tymczasem w ZMP jest 20 proc. młodzieży wiejskiej". A więc stanowczo za mało. Stąd też wielkie zadanie: włączyć w szeregi ZMP całą olbrzymią masę chłopskiej młodzieży, która pod jego kierownictwem kroczyć będzie drogą wielkiego awansu społecznego. Stąd też konieczność oparcia się i na radykalnych tradycjach wiciowych. Tradycje takie są. Choćby Zjazd Związku Zawodow. Rolników (Warszawa 12 czerwca 1932 r.) urządzony przez Stronnictwo Chłopskie, w czasie którego grupa wiciarzy domagała się zmian w „Wiciach" — rządu chłopsko-robotniczego, reformy rolnej bez odszkodowania, antywojennej polityki.

Zadanie włączenia młodzieży chłopskiej w ZMP, umasowienie związku (obecnie liczy 570.000 członków) oznacza zmobilizowanie wszystkich młodych sił do pracy nad odbudową i przebudową kraju. Prezydent RP mówił pod adresem młodzieży: „Taka będzie przyszłość Polski, jaką wy potraficie stworzyć". **D. D.**

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL.
Redaguje Komitet.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98
Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ
REDAKCJA RĘKOPISÓW NIE ZWRACA
Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98.
Warunki prenumeraty: miesięcznie 80.— zł; kwartalnie 240.— zł; półrocznie 480.— zł; rocznie 960.— zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII—1080.
Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik" — Łódź, Żwirki 2
D—032521